PRZYGODY PIOTRUSIA PANA

PRZYGODY PIOTRUSIA PANA

J. M. BARRIE

PRZYGODY PIOTRUSIA PANA

PRZEKŁAD ZOFII ROGOSZÓWNY
ILUSTRACYE ARTURA RACKHAMA

WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.


Arthur Rackham · 1912



ROZDZIAŁ I.

WIELKA WYPRAWA DO PARKU LEŚNEGO

BYŁOBY wam trudno zrozumieć przygody Piotrusia Pana, gdybyście nie wiedzieli, jak wygląda Park Leśny. Park ten jest olbrzymi i leży w pobliżu bardzo wielkiego miasta, w którem mieszka król. Prawie codziennie chodzimy z Daniem do parku i Danio jest wprost oszołomiony, mnóstwem wrażeń, jakich tam doznaje. Nigdy jeszcze żadne dziecko nie zwiedziło całego parku za jednym razem, bo malcy w wieku Dania muszą sypiać od dwunastej do pierwszej w południe, i dlatego trzeba spieszyć z powrotem do domu. Gdyby jednak wasze mamy nie przestrzegały tak koniecznie tego spania od dwunastej do pierwszej w południe, to może moglibyście zwiedzić cały Park Leśny w jednym i tym samym dniu.

Przed Parkiem ciągnie się nieskończenie długi sznur dorożek, nad któremi wasze piastunki mają taką władzę, że skoro palec do góry podniosą, do-

rożka staje, a wtedy dzieci przechodzą swobodnie na drugą stronę ulicy i zatrzymują się przed wielką, żelazną bramą. Bram w parku jest kilka, ale zwykle wchodzi się tą pierwszą. U wejścia można zamienić parę słów z „panią od baloników“. Pani ta, z takiem natężeniem, całą swą przysadzistą postacią przyciska stołek do bruku chodnika, a plecy do żelaznego ogrodzenia parku, że twarz jej jest czerwona, jak burak. Ostrożność ta jest bardzo wskazaną, bo gdyby choć na chwilkę puściła się sztachet i stołka, baloniki, które trzyma w ręku, uniosłyby ją w powietrze. I tak się nawet stało któregoś dnia, bo gdyśmy o zwykłej godzinie przyszli do parku, zastaliśmy pod bramą „nową panią od baloników“. Widocznie ta dawniejsza, gruba, oderwała się od sztachet i baloniki uniosły ją w górę. Danio bardzo żałował, że nie był przy tem, bo skoro już wogóle miało się stać takie nieszczęście, byłby przynajmniej chciał je widzieć na własne oczy.

Leśny park jest prześlicznym ogrodem, w którym rosną miliony i setki najpiękniejszych drzew. Zaraz za bramą zaczyna się Gaj figowy, ale każdy umyka stąd czemprędzej, bo tutaj bawią się tylko dzieci, które z nikim „zadawać się“ nie chcą, bo są zanadto dobrze wychowane. Danio i inni bohatero-

wie w jego wieku, nazywają je pogardliwie „małpkami“. Dzieci te chodzą postrojone, jak laleczki z wystawy sklepowej, mówią pocichutku i używają wyszukanych wyrazów, jak ludzie dorośli. Nudzą się przytem ciągle, bo w nic się bawić nie umieją. Zdarza się jednak, że i najlepiej wytresowana małpa zbuntuje się w zwierzyńcu, przesadzi strzegące ją mury i ucieknie w świat daleki. Takim buntowniczym duchem była Marynka Grey, o której dowiecie się więcej, kiedy dojdziemy do bramy, ochrzczonej jej imieniem. Ta mała Marynka jest jedyną „małpką“, której wspomnienie przechowało się w Leśnym parku.

Teraz przechodzimy na Dużą drogę. Różnica między nią, a innemi drogami jest prawie taka, jak między wami a waszym ojcem. Danio nie może się nadziwić, że droga ta jest z początku wązka, a potem rozszerza się i rozszerza, dopóki się nie stanie zupełnie szeroką drogą. Danio twierdzi, że droga ta jest ojcem wszystkich ścieżek i ścieżynek parku i wyrysował nawet obrazek, który mu się ogromnie podoba. Na tym obrazku Duża droga wiezie w dziecinnym wózku małą dróżkę na spacer. I na tej drodze spotkać można tylko bardzo porządne towarzystwo. Dzieci bawią się tu zawsze pod okiem doro-

słych, którzy pilnują, żeby nie zamoczyły nóżek w wilgotnej trawie i stawiają je do kąta za to, że są „uparciuchami“ albo „mazgajami“. Wyraz „mazgaj“ oznacza kogoś, kto płacze o byle co, n. p. o to, że go niania nie chce wziąć na ręce, albo że mu palec z buzi wyjęto. Z dwojga złego, lepiej już być „uparciuchem“, bo tyle najmilszych rzeczy jest zabronionych na świecie, że warto od czasu do czasu popróbować, czyby się jednak nie dało postawić na swojem.

Gdybyśmy się zatrzymywali przy każdym placu, przez który przechodzi Duża droga, stracilibyśmy tyle czasu, że musielibyśmy wracać do domu, nie obejrzawszy ani jednej części wszystkich rzeczy godnych widzenia w Parku Leśnym. Zwrócę wam więc tutaj tylko uwagę na drzewo Mundzia Helwett'a — pod którym ów Mundzio bawiąc się pewnego razu, zgubił jednego centa, a po chwili szukania odnalazł dwa! Od tego pamiętnego zdarzenia cała ziemia dokoła drzewa jest rozgrzebana i zryta rydelkami młodocianych „poszukiwaczy złota“. Nieco dalej wznosi się drewniana budka, w której zabarykadował się mały książę Henryś. Mały książę „mazgaił się“ przez całe trzy dni, bez żadnego powodu, i za karę przyprowadzono go do Parku leśnego w sukience jego sio-

strzyczki. Henryś nie mógł znieść takiej hańby. Na Dużej drodze wydarł się z rąk bony, zamknął się w drewnianej budce i nie dał się z niej wyprowadzić, póki mu nie oddano jego bufiastych majteczek z dwiema kieszeniami.

Nie będę was namawiał, żebyście się zbliżyli do Okrągłego stawu, bo zanim doń dojdziecie, nianie wasze, które są okropnie „tchórzliwe“, odciągną was napewno w inną stronę i pokażą wam ścieżkę, wiodącą do Dziecinnego pałacu. W pałacu tym mieszkała samiuteńka jedna, w otoczeniu bardzo wielu lalek, najsławniejsza dziewczynka z całego parku. Jeśli kto pociągnął za sznurek dzwonka, wstawała zaraz z łóżka, o szóstej zaświecała światło i odmykała drzwi w koszulce nocnej, a wszyscy wołali w uniesieniu: „Cześć królowej! niech żyje królowa!“ Dania jednak to najbardziej dziwi, że taka mała dziewczynka wiedziała, gdzie są schowane zapałki.

Teraz zastępuje nam drogę Wyścigowa góra. Zdarza się, że dzieci wchodzą na nią bez zamiaru gonienia się lub ścigania. Ledwie jednak stopy ich dotkną jej szczytu, taka ochota wzbiera się w nich nagle, że zbiegają z góry, jakby im skrzydła wyrosły u ramion. Zwykle zatrzymują się dopiero wówczas, kiedy już tak daleko odbiegły od starszych,

że nie wiedzą, jak trafić do nich. Ale na szczęście jest tu druga drewniana budka, w której siedzi dozorca. Budka ta nazywa się „domkiem znajdków“, bo jak się tylko dziecko zgubi, idzie do dozorcy i mówi mu, że się zgubiło, a dozorca je zaraz znajduje. Na Górze wyścigowej zabawy i gonitwy nie ustają nigdy, bo nawet w dni zimne i wietrzne, kiedy dzieciom wychodzić z domu nie wolno, zamiast nich bawią się tu i ścigają zżółkłe, jesienne liście. Opanowane szałem gonitwy, bez końca wirują tu i gonią się, a nikt na świecie nie może im dorównać w lekkości i chyżości.

Z Wyścigowej Góry widzimy, jak na dłoni, bramę Marynki Grey, o której przyrzekłem wam więcej opowiedzieć. Była to ładna, mała dziewczynka, która codzień o tej samej godzinie zjawiała się w parku, w towarzystwie dwóch piastunek, albo jednej mamy i jednej piastunki. Marynka była zawsze ślicznie ubrana, wszystkim „małpkom“ mówiła „pa“, i bawiła się tylko swoją własną piłeczką, którą raczyła rzucać na ziemię i kazała podnosić piastunce. I raptem, ta grzeczna, ta ślicznie ubrana i „wzorowo“ wychowana Marynka, zmieniła się w najniegrzeczniejsze stworzenie. Chcąc dowieść, że jest naprawdę niegrzeczną, rozwiązała najpierw sznurowadła trze-

wiczków i wywiesiła język na cztery strony świata. Potem zdarła z siebie szarfę jedwabną, zmięła ją i podeptała nogami, pobiegła do kałuży i skakała po błocie, póki niem nie obryzgała strojnej swojej sukienki. Potem przelazła przez płot i narobiła jeszcze wiele innych głupstw, na których zakończenie zrzuciła z nóżek oba zabłocone trzewiczki i cisnęła je daleko poza siebie. Wreszcie ochlapana błotem, rozczochrana i w pończoszkach tylko, pomknęła ku bramie, ochrzczonej teraz jej imieniem, wypadła na ulicę i byłaby z pewnością zginęła w tłumie, gdyby biegnąca za nią matka nie porwała jej na ręce i nie zaniosła do dorożki, która zbuntowaną małpkę odwiozła do domu. Stało się to dawno temu i Danio tylko z imienia zna Marynkę Grey.

Na lewo od Dużej drogi ciągnie się Aleja dzidziusiów. Pełno tu dziecinnych wózków i maleństw zaledwie raczkujących, — wprost trudno przejść, nie natknąwszy się na jakieś niemowlę, co wywołuje natychmiast okrzyki grozy i oburzenia nianiek. Tu jest także przejście ku mleczarni, gdzie w prawdziwych rondlach gotuje się mleko i gdzie kwiatki kasztanów spadają wprost do waszych szklanek. Tu piją mleko także zwyczajne dzieci i do ich szklanek sypią się kwiatki kasztanów, tak samo jak i do waszych.

Teraz rzucimy okiem na studnię z basenem. Kiedy do tego basenu wpadł Jurek Śmiały, tyle było w nim wody, że się przelewała przez brzegi. Jurek był pieszczochem swojej matki i ze względu na to, że matka jego była wdową, pozwalał jej nawet przy ludziach brać się czasem pod ramię. Jurka ogarniała nieraz niepohamowana żądza przygód. Wtedy najchętniej bawił się z kominiarzem Smoluchem. Pewnego razu, kiedy jak zwykle bawili się koło studni, Jurek Śmiały wpadł do basenu i byłby się utopił, ale Smoluch dał nurka w wodę i wydobył go na wierzch. I co najdziwniejsze, że woda tak doskonale zmyła sadzę z twarzy Smolucha, że kiedy z niej wyszedł, wszyscy odrazu poznali, że Smoluch jest ojcem Jurka, którego wszyscy uważali za zaginionego. Od tego czasu Jurek nigdy już nie pozwalał swojej matce, aby go brała pod ramię.

Pomiędzy studnią i Okrągłym stawem leży boisko przeznaczone dla zwolenników „cricket'a". Tylko, że do prawdziwej gry nie przychodzi prawie nigdy, bo podzielenie dzieci na partye zabiera za wiele czasu. Każde z dzieci chce grę prowadzić, a kiedy po wielu wysiłkach udało się nareszcie wszystkich pogodzić i dwóch partnerów rozpoczyna grę, okazuje się, że reszta dzieci już postanowiła bawić się w coś

innego. Na tem boisku grają w „cricket'a“ chłopcy i dziewczynki. Chłopcy używają w grze drewnianej pałki, a dziewczynkom pomagają rakiety i guwernantki. Nie dziw więc, że nigdy nie grają porządnie, a jeślibyś chciał podpatrzeć ich rozpaczliwe wysiłki, doleciałyby cię z boiska najdziwniejsze odgłosy. Z tego powodu zdarzyła się raz nawet bardzo niemiła historya. Kilka dziewczynek wyzwało do walki „w piłkę“ Dania i pewne rozwichrzone stworzonko (na imię jej było Anielcia) zrobiło tyle dobrych punktów, że... albo nie, wolę pominąć milczeniem tę niefortunną przygodę i zaprowadzić was do Okrągłego stawu, który jest duszą całego parku.

Staw jest okrągły, bo leży w samym środku Parku Leśnego, a kto raz stanął nad jego brzegiem, napewno nie zechce kroku postąpić dalej. Tu widzi się chłopców, puszczających na wodę tak ogromne żaglowce, że dla przewiezienia ich do parku, muszą używać taczek albo wózków dziecinnych. Uważaliście pewnie, że w parku bardzo dużo małych dzieci ma wykrzywione nóżki. Nie może być inaczej, skoro bracia i kuzynkowie zabierają ich wózki na swoje rzeczy, a bobięta muszą dreptać do domu piechotą.

Każdy z was marzył zapewne o posiadaniu żaglowej łodzi na własność, i oto wujaszek spełnił

wreszcie wasze życzenie. Ach, wielka to przyjemność przywlec taki statek do parku i rozprawiać o nim głośno z innymi chłopcami, którzy nie mają tak zacnego wujaszka. Ale po paru występach, wolicie zostawić wasz wspaniały statek w domu, bo wkrótce spostrzegacie, że żaden, choćby najkosztowniejszy statek, nie może się nawet równać ze „statkiem z patyka“. Szczególną cechą tego statku jest jego dziwne podobieństwo do kawałka patyka, przywiązanego na końcu sznurka. Podobieństwo to jednak trwa, dopóki statek nie zostanie puszczony na wodę. Bo skoro tylko zacznie się ślizgać po powierzchni stawu, właściciel idący wzdłuż brzegu i dzierżący w ręku sznurek, widzi natychmiast tłumy majtków, uwijających się na pokładzie, widzi żagle wzdęte majestatycznie i płynie, płynie dniem i nocą hen, ku cichej, bezpiecznej przystani, zupełnie niedostępnej kosztownym, sklepowym statkom. Noc zapada szybko, ale nieustraszony żaglowiec wypływa na pełne morze; żagle jego wzdymają się i trzepią na wietrze i płynie wciąż przed siebie, ponad zatopionemi miastami, coraz to natrafiając na rozbójników morskich, z którymi mężna załoga musi staczać dzikie walki. Wreszcie po długiej, mozolnej podróży, statek twój zarzuca kotwicę na koralowych rafach.

Wielka wyprawa do Parku Leśnego

Najpiękniejsze przygody zdarzają się zwykle, kiedy się bawisz sam, bo we dwóch nie można się tak bawić, jak samemu. Gdy jesteś sam, prowadzisz półgłosem rozmowy, wydajesz rozkazy, wygrywasz bitwy i bawisz się tak znakomicie, że zapominasz zupełnie, gdzie się znajdujesz i że już czas największy wracać do domu. A kiedy przestajesz się bawić, zapominasz zupełnie, kim byłeś i czem twój statek był wyładowany po brzegi. Bo już wieko twojego skarbca się zatrzasnęło i skarbiec zapadł w głąb twej pamięci. Może dopiero po latach inny jaki chłopczyk odkryje go i czerpać będzie z jego skarbów.

Kosztowne, sklepowe statki nie kryją w wnętrzu swojem żadnych tajemnic i dlatego widok sklepowego jachtu nie ożywi nigdy w pamięci dorosłego człowieka najmilszych wrażeń jego dzieciństwa. Bo tylko „statki z patyka“ wyładowane są po brzegi najcenniejszemi wspomnieniami. Jacht jest tem samem wobec „statku z patyka“, czem jest zwyczajny flisak wobec marynarza. Statek sklepowy ośmiela się zaledwie krążyć po tafli jeziora, podczas gdy „statek z patyka“ bez lęku wypływa na fale wzburzonego oceanu. To też niech dzieci posiadające piękne jachty nie wyobrażają sobie, że zabawki te

wzbudzają u drugich podziw. O nie, jachty te są zupełnie zbyteczne na Okrągłym stawie. Gdyby nawet wszystkie się potopiły, albo gdyby kaczki wciągnęły je pod wodę i zagrzebały w mule, Okrągły staw spełniałby nadal cele, jakie mu przeznaczono.

Tak samo jak dzieci, ciągną ku wodzie mniejsze i większe ścieżki. Jedne z nich są opatrzone słupkami z kolczastym drutem. Są to porządne ścieżki czyszczone i żwirowane przez ludzi, którzy przy tej robocie zdejmują z siebie surduty. Oprócz tych ścieżek jest mnóstwo innych, zwanych „złodziejskiemi“. Dróżki te i ścieżynki są miejscami tak szerokie, że dwie osoby swobodnie wyminąćby się mogły, to znów zwężają się tak dalece, pomimo że stawiasz nogi tuż przy sobie i tak dotykasz niemi krzaków, rosnących po obu stronach. Naturalnie „złodziejskie“ ścieżki zrobiły się same i Danio bardzo żałuje, że nie może nigdy się przyjrzeć, jak one „się robią“. Naturalnie, że to „robienie się“ ścieżek musi się odbywać już „po dzwonku“, kiedy bramy parku są pozamykane. Wszystko, co jest ciekawego w parku, robi się zawsze w nocy; ja sądzę, że ścieżki porobiły się dlatego, żeby nie stracić sposobności przyjrzenia się Okrągłemu stawowi.

Jedna z tych „złodziejskich“ ścieżyn zaczyna się

od placu, gdzie strzygą barany i owce. Mówiono mi, że kiedy fryzyer ostrzygł poraz pierwszy loki Dania, Danio pożegnał je bez zmrużenia powiek, (za to mamie jego łzy się kręciły w oczach). Nie dziw więc, że kiedy barany i owce zaczęły umykać przed postrzygaczem, Danio wołał ku nim wzgardliwie: — „Nie wstyd wam, stare tchórze". Kiedy jednak postrzygacz ścisnął owieczkę kolanami i rozpoczął operacyę, Danio pogroził mu pięścią. Nie mógł darować postrzygaczowi, że używa do strzyżenia takich wielkich nożyc. Po ostrzyżeniu owcy, postrzygacz otrząsa z niej wełnę i zwierzątko stoi nieruchomo, zupełnie niepodobne do siebie. Owce są tak zdziwione i onieśmielone tą nową swoją postacią, że puszczone wolno, nie odrazu zaczynają skubać trawę. Zapewne im się zdaje, że teraz nie mają już do niej prawa. Danio nieraz myśli nad tem, czy owce po ostrzyżeniu poznają jedna drugą, czy też może biorą się za obce i dlatego sprzeczają się między sobą. Te owce z Parku Leśnego są wogóle zupełnem przeciwieństwem owiec wiejskich. Dość powiedzieć, że na sam ich widok nasz dzielny Portos podwija ogon ze strachu. Portos jest Bernardem, i niech tylko na wsi posłyszy zdaleka beczenie owiec, biegnie ku nim i gna przed sobą

całe stado. Ale te miejskie owce idą wprost ku niemu z tak dziwnym wyrazem w oczach, że Portosowi odrazu robi się niedobrze. Jego psi honor nie pozwala mu naturalnie zemknąć przed owcami, więc stoi bez ruchu, udając, że jest pogrążony w podziwianiu krajobrazu, a potem raptem zawraca w bok i daje mi z za krzaków do zrozumienia, że moglibyśmy pójść dalej.



Niedaleko stąd zaczyna się „Wężowe jezioro“. Jeśli się kto przechyli ponad jego brzegiem, widzi na jego dnie zatopiony las, zwrócony wierzchołkami drzew ku dołowi. Ludzie mówią, że nocą błyszczą w głębi „Wężowego jeziora“ zatopione gwiazdy. Jeśli to prawda, to je widuje zapewne Piotruś Pan, kiedy w gniazdeczku swojem żegluje po powierzchni jeziora. Tylko nieznaczna część jeziora znajduje się w Parku Leśnym, bo zaraz woda przepływa popod kamiennym mostem aż ku „Ptasiej wyspie“. Wyspa ta jest ojczyzną wszystkich ptaszków, z których wyrastają później chłopcy i dziewczynki. Żadna istota ludzka, z wyjątkiem Piotrusia Pana, (który jest tylko niby-czło-



wiekiem) nie może przedostać się na „Ptasią wyspę“. Każde z dzieci jednak bez względu na to, czy jest dziewczynką, czy chłopcem, brunetem czy blondynką, może napisać co mu się żywnie podoba na karteczce, przymocować liścik ten do papierowego stateczku i puścić go na wodę. Ręczę wam, że skoro tylko noc zapadnie, wasz liścik popłynie wprost do Piotrusiowego państwa.

Dość na dzisiaj, czas wracać do domu, bo jak mówiłem, niemożliwem jest zobaczyć wszystko jednego dnia. Musiałbym chyba nieść Dania na rękach i wypoczywać na każdej ławce, jak p. Salford. Nazwaliśmy tego pana, panem Salfordem, bo każdemu, kogo spotka w parku, opowiada o ślicznej miejscowości, w której się urodził, a która nazywa się Salford. Bardzo to miły staruszek. Przesiada się z ławki na ławkę i szuka osoby, z którą-by mógł nawiązać rozmowę o Salford. Rok minął od czasu gdyśmy go zobaczyli poraz pierwszy i oto traf chciał, że poznaliśmy się z innym samotnym staruszkiem, który za młodych lat spędził raz w Salford całą jedną sobotę i pół niedzieli. Był to cichy, nieśmiały starowina; adres jego był zawsze wypisany wewnątrz jego kapelusza. Skorośmy się dowiedzieli o jego wycieczce do Salford, powiedliśmy go w tryumfie do

pana Salforda. Nie potrafię wam opisać radosnego wzruszenia, z jakiem nasz przyjaciel rzucił się na potulnego staruszka, gdyśmy mu napomknęli o tej sobocie i niedzieli. Od tego czasu obaj staruszkowie nie rozłączają się ze sobą. Prym w rozmowie trzyma naturalnie p. Salford i na każdym przystanku chwyta swego towarzysza za guzik surduta, jakby się lękał, żeby mu się potulny staruszek nie wymknął.

Nieopodal wyjścia napotykamy jeszcze dwie rzeczy godne uwagi. Pierwszą jest Cmentarz psów, ale tu się nie zatrzymamy, bo przecież nasz Portos jeszcze żyje. Jeszcze bliżej bramy rośnie krzaczek z gniazdeczkiem sikorki. Smutne wspomnienie wiąże się z tem gniazdeczkiem. Szukaliśmy w krzakach piłki Dania i raptem zamiast piłki odkryliśmy cudne, maluchne gniazdeczko, a w niem cztery jajeczka, ozdobione kolorowemi kreseczkami, zupełnie podobnemi do gryzmołów, wypisywanych przez Dania na jego zeszytach. Zapewne mama-sikorka pisała na tych jajeczkach liściki do pisklątek, zamkniętych wewnątrz skorupek. Codzień odwiedzaliśmy małe gniazdko, ale zaglądaliśmy doń tylko wówczas, kiedy żadnego z psotnych chłopaków nie było w pobliżu.

Codzień sypaliśmy dokoła krzaczka okruszki, a ptaszyna podnosiła główeczkę na nasz widok,

i tak się z nami oswoiła, że trzepotała skrzydełkami na powitanie. Ale kiedyśmy przybyli jednego razu, w gniazdku brakowało dwóch jajeczek. Nazajutrz nie było już ani jednego. A biedna ptaszyna biła skrzydełkami ponad krzaczkiem i patrzyła na nas tak żałosnym wzrokiem, jakby myślała, że to myśmy zdradzili jej zaufanie. To było wprost okropne i Danio tłumaczył jej, jak tylko mógł, że żaden z nas nie byłby w stanie wyrządzić jej takiej krzywdy. Ale boję się, czy ptaszyna go zrozumiała, bo kilka lat już minęło, od czasu jak Danio używał ptasiego języka. Gdyśmy dnia tego opuszczali Park Leśny, obaj mieliśmy łzy w oczach.





ROZDZIAŁ II.

PIOTRUŚ PAN.

JEŻELI zapytasz swojej matki, czy, będąc małą dziewczynką, wiedziała już o Piotrusiu Panu, matka odpowie ci z pewnością: — „Naturalnie moje dziecko, jakżeż mogłabym nie wiedzieć o nim?“ A jeśli zapytasz jeszcze, czy Piotruś wtedy jeździł na kozie, matka wzruszy ramionami: — „Cóż za pytanie mój mały! naturalnie, że jeździł!“ Jeżeli potem pobiegniesz do babuni i jej zapytasz z kolei, czy, kiedy była małem dzieckiem, słyszała co o Piotrusiu Panu, babunia odpowie tak samo jak matka: — „Naturalnie, moje dziecko, że słyszałam o nim“. Ale jeżeli jej zapytasz, czy za jej czasów Piotruś Pan je-

ździł na kozie, okaże się, że babunia nawet nie wie, że Piotruś Pan ma kozę. Jedno z dwojga, albo babunia zapomniała o kozie, jak zapomina czasem, że jesteś chłopcem i nazywa cię Inką, jak nazywała twoją matkę, kiedy była mała, albo też za czasów babuni Piotruś nie miał jeszcze kozy. Sądzę jednak, że koza Piotrusia Pana jest rzeczą zbyt ważną, żeby dało się o niej zapomnieć i myślę, że chyba za młodych lat babuni Piotruś rzeczywiście nie miał kozy. Toteż jeśliby ktoś, opowiadając przygody Piotrusia Pana, zaczynał od kozy, toby zrobił to samo, co gdyby ubierając się, włożył najpierw surdut, a później kamizelkę.

Rozumie się, że Piotruś Pan jest bardzo stary, ale to zupełnie wszystko jedno, bo Piotruś nigdy nie ma więcej nad siedem dni życia. Urodził się wprawdzie bardzo dawno temu, ale nigdy jeszcze urodzin nie obchodził i nie ma nawet żadnej nadziei, żeby mógł je kiedy obchodzić. A to dlatego, że kiedy Piotruś Pan miał siedem dni, porzucił ludzi — wymknął się przez otwarte okno i poleciał prosto do Parku Leśnego.

Jeżeli wam się zdaje, że Piotruś był jedynem dzieckiem, które zapragnęło uciec z domu, to znaczy, że już nie pamiętacie pierwszych dni waszego

dzieciństwa. Kiedy Danio poraz pierwszy opowieść tę usłyszał, był przekonany, że nigdy nie miał zamiaru uciekać z domu. Wtedy mu poradziłem, żeby obu dłońmi przycisnął skronie i dobrze się namyślił. I co powiecie? Ledwie Danio przyłożył ręce do skroni i pocisnął je mocno i jeszcze mocniej, zaraz sobie przypomniał, że chciał raz usiąść na samym wierzchołku wysokiego drzewa, a innym razem, ułożył sobie, że wydrapie się na komin, skoro tylko jego matka zaśnie i zdaje mu się nawet, że siedział na gzymsie komina i matka go stamtąd zdjęła. Wszystkie dzieci mogą mieć takie wspomnienia, jeżeli skronie dłońmi pocisną, bo przecież wszystkie były ptaszkami, zanim stały się ludźmi, i dlatego są takie dzikie w pierwszych tygodniach po urodzeniu i najwięcej łaskotek mają koło łopatek, tam, gdzie pierwej rosły skrzydełka. Tak mi to wytłumaczył Danio.

Bo trzeba wam wiedzieć, że z naszemi historyjkami jest zwykle tak: Najpierw ja coś opowiadam Daniowi, potem on mi to opowiada po swojemu, i okazuje się, że z tego zrobiła się zupełnie inna powiastka. Więc znowu ja mu ją opowiadam z różnymi dodatkami, potem on znowu mnie, i w końcu żaden z nas nie wie, czy to moja, czy Dania bajka.

Otóż Piotruś Pan wymknął się przez okno, bo okno nie było zakratowane. Z gzymsu, na którym stanął, ujrzał szczyty drzew rosnących w Parku Leśnym, i w tej chwili zapomniał, że jest małem dzieciątkiem, w długiej nocnej koszulce, uniósł się w górę i poleciał hen, ponad kominy i dachy domów, prosto do Parku Leśnego. Troszkę to dziwne, że Piotruś latał bez skrzydeł, ale obie łopatki swędziły go zupełnie tak, jakby jeszcze miał skrzydełka, a zresztą — może moglibyśmy wszyscy latać, gdybyśmy mieli taką niezachwianą wiarę w naszą możność latania, jaką miał tego wieczora odważny Piotruś Pan.

Doleciawszy do Parku Leśnego, Piotruś wylądował szczęśliwie między Pałacykiem dziecinnym a Wężowem jeziorem. Czemprędzej rzucił się na trawnik i tarzał się po murawie, wierzgając nóżkami, jak małe źrebiątko. Piotruś zapomniał zupełnie, że był człowiekiem i myślał, że jest znowu ptakiem, tak jak wtedy, kiedy był na Ptasiej wyspie. Otworzył usta, chcąc złapać przelatującą muchę, ale mucha mu uciekła. Więc machnął za nią rączką, czego rzecz prosta, ptaszki nie robią nigdy.

Piotruś poznał zaraz, że musi być „po dzwonku“, bo mnóstwo elfów uwijało się dokoła. Elfy były tak

zajęte, że wcale nie spostrzegły Piotrusia. Jedne przyrządzały śniadanie, inne doiły maleńkie krowy, inne jeszcze nosiły wodę w konewkach. Piotrusiowi chciało się także pić, więc poleciał ku Okrągłemu stawowi i zanurzył dzióbek w wodzie. Naturalnie Piotrusiowi zdawało się tylko, że zanurzył swój dziób, bo naprawdę to zamaczał tylko nosek i tak mało nabrał nim wody, że wcale nie ugasił pragnienia. Więc spróbował spłukać z siebie kurz, podleciał nad staw, skoczył w dół i od razu znalazł się pod wodą. Jeżeli ptaszek zleci na wodę, to roztacza skrzydełka, ochlapie się, wypluska i wychodzi z wody zupełnie suchy, ale Piotruś nie mógł sobie przypomnieć, jak to się robi i bardzo zgnębiony wyszedł z wody. Wreszcie postanowił spędzić noc na gałęzi drzewa, rosnącego tuż nad Aleją dzidziusiów.

Trudno mu było z początku utrzymać równowagę na gałęzi, ale w końcu usadowił się jakoś i zasnął. Dobrze przede dniem obudził się i drżąc od nocnego chłodu, mruknął:

— Jak żyję nie spędziłem na dworze takiej zimnej nocy.

Naprawdę, to będąc ptaszkiem, sypiał na drzewach w noce o wiele chłodniejsze jeszcze, ale zi-

mno dokucza znacznie mniej ptaszkowi okrytemu piórkami i pierzem, niż małemu chłopczynie mającemu za całe odzienie cienką koszulkę nocną. Piotrusiowi było czegoś niedobrze. Tęsknił za czemś bardzo, ale główkę miał tak skołataną, że ani rusz przypomnieć sobie nie mógł, czego mu właściwie brakuje. Nagle rozległ się jakiś łoskot i coś tak mocno wstrząsnęło Piotrusiem, że omal go z drzewa nie zrzuciło. Piotruś obejrzał się niespokojnie i nie domyślił się nawet, że to on sam kichnął tak gwałtownie. I coraz mocniej chciał czegoś, ale nie wiedział czego. Z pewnością pragnął, żeby mu mama nosek obtarła, ale że nie mógł zdać sobie sprawy ze swego pragnienia, więc postanowił poradzić się elfów, bo słyszał nieraz, że elfy umieją na wszystko znaleźć dobrą radę.

Wychyliwszy się z pośród gałęzi, dostrzegł Piotruś dwa elfy, które objąwszy się w pół, w wesołych pląsach, krążyły po Alei dzidziusiów. Elfy dąsają się czasem na ptaki, ale jeżeli się kto do nich zwróci uprzejmie, nigdy mu nie odmawiają pomocy. Toteż Piotruś zdziwił się i rozgniewał, bo kiedy zeskoczywszy na ziemię przemówił do elfów, oba elfy na jego widok rzuciły się do ucieczki. Także pewien stary elf, który rozparty na krześle ogrodowem,

spokojnie czytał pocztówkę zgubioną w parku przez jakiegoś pana, na głos Piotrusia porwał się z miejsca i z przeraźliwym krzykiem pobiegł się ukryć za wielki kielich tulipana.

W którąkolwiek stronę skierował się Piotruś. wszystko umykało przed nim. Kilkunastu drwali, zajętych obaleniem trującego grzyba, rzuciło się do ucieczki w takim pośpiechu, że nie zdążyło nawet pozbierać narzędzi leżących na ziemi. Dziewczyna wracająca od doju, wypuściła z ręki skopek mleka i przewróciła się na nim. Cały park był w ruchu, Tłumy elfów gnały to w tę, to w ową stronę i pytały się siebie nawzajem, czy bardzo się boją? Jedne gasiły światła, inne barykadowały drzwi, a z głębi pałacyku królowej rozlegało się głuche warczenie bębnów i dźwięk trąb, świadczące, że królewska gwardya gotuje się do obrony zamku. Wkrótce cały regiment ułanów, uzbrojonych w palmowe kolce, wymaszerował na Dużą drogę. Piotruś słyszał zewsząd krzyki i nawoływania, że „człowiek“ został w parku „po dzwonku“. I nie przyszło mu nawet na myśl, że to on sam jest tym człowiekiem. Było mu coraz duszniej i dałby nie wiem co, żeby się dowiedzieć, co właściwie dzieje się z jego noskiem. Ale nie miał się kogo poradzić, bo wszystko w po-



płochu uciekało przed nim. Nawet armia ułanów, ujrzawszy go na szczycie Wyścigowej góry, co tchu umknęła w jedną z bocznych ścieżek, pod pozorem, że z ukrycia lepiej obserwować ruchy nieprzyjaciela.

Widząc, że z elfami nie dojdzie dziś do ładu, Piotruś postanowił zwrócić się o pomoc do ptaszków, ale zaraz przypomniał sobie, że kiedy wieczorem próbował usadowić się pośród gałęzi, wszystkie ptaszki w popłochu opuściły drzewo. Serduszko Piotrusia ścisnęło się boleśnie, zrozumiał nagle, że niewiadomo czemu, wszystko, co żyje, unika go, jak wroga. Rozżalony Piotruś usiadł na ziemi i rozpłakał się rzewnie. W zmartwieniu swojem nie zastanowił się nawet nad tem, że siedzi zupełnie mylnie, bo przecież ptaszki nie używają do siadania tej części ciała, którą teraz posługiwał się Piotruś. I dobrze, że o tem nie pomyślał, bo byłby w końcu stracił wiarę w swoją możność latania, a kto utraci wiarę w siebie nigdy już nie wzbije się ponad ziemię. Ptaki dlatego latają tak niestrudzenie, że nigdy wiary w swój lot nie tracą. Bo mieć wiarę, to tosamo, co mieć skrzydła do lotu.

Nikt, z wyjątkiem ptaków, nie może przedostać się na wyspę, położoną pośrodku Wężowego jeziora, bo cała wyspa otoczona jest ostrokołem, a na ka-

żdym jego palu siedzi ptak-wartownik, który czuwa nad wyspą we dnie i w nocy. Kiedy Piotruś przelatywał nad ostrokołem, warty spały jeszcze; Piotruś niepostrzeżenie spuścił się na ziemię i serduszko zabiło mu żywiej, kiedy poznał, że jest znowu w swojej ojczyźnie. Piotruś udał się prosto do Kruka Salomy, który wstawał najwcześniej ze wszystkich ptaków i opowiedział mu wszystko, co zaszło od czasu, jak opuścił Ptasią wyspę. Kruk wysłuchał w milczeniu jego przygód, a potem bez ogródek powiedział mu, co myśli o tem.

— Jeżeli mi nie wierzysz, to przyjrzyj się swojej koszulce nocnej — zakończył. Piotruś popatrzył najpierw na swoją koszulkę, a potem na śpiące na drzewach ptaszki. Nie — żaden ptaszek koszulki nie miał na sobie.

— Czy wszystkie twoje kończyny są opatrzone szponami? — pytał dalej nieubłagany Salomo i znowu ujrzał Piotruś, że rączki jego i nóżki zakończone są paluszkami. Aż mu się gorąco zrobiło, tak się przeraził tem odkryciem.

— Nastrosz pióra! — rozkazał stary Salomo, ale napróżno zrozpaczony Piotruś próbował spełnić jego polecenie. Nie miał ani jednego piórka. Cały drżący popatrzał na Salomę i raptem przypomniał


Arthur Rackham 1912

sobie otwarte okno sypialnego pokoju i pewną śliczną, młodą panią, która go bardzo mocno kochała.

— To już chyba wrócę do mojej matki — bąknął nieśmiało.

— Z Bogiem! — mruknął Salomo i drwiąco popatrzył na niego.

Piotruś się ociągał:

— Czemuż nie lecisz? — zagadnął go po chwili kruk.

— A czy ja... czy ja mogę jeszcze latać? — zająknął się Piotruś.

Oczywista, że Piotruś stracił wiarę w siebie.

— Biedny, mały niby - człowieczku — pokiwał głową Salomo, (który w gruncie rzeczy miał bardzo dobre serce) — nigdy już, nawet w wietrzne dni, nie będziesz mógł się unieść w powietrze. Na zawsze już musisz pozostać na Ptasiej wyspie.

— I nigdy już nie wrócę do Parku Leśnego? — żałośnie pytał Piotruś.

— A jakże dostaniesz się przez wodę?

Widząc jednak smutek Piotrusia, Salomo przyrzekł wyuczyć go wszystkiego, co mogło mu się przydać w obecnych jego warunkach.

— A czy ja już nigdy nie wyrosnę na prawdziwego człowieka? — pytał jeszcze Piotruś.

— Nigdy.

— I nigdy nie będę prawdziwym ptakiem?

— Nie będziesz.

— Więc cóż będzie ze mnie?

— Ot będzie to co i teraz. Ni to, ni owo — pokiwał głową Salomo i uderzony trafnością swej uwagi, z zadowoleniem podrapał się w łebek.

Ptaki, zamieszkujące wyspę, nie oswoiły się nigdy ze zmianą, jaka zaszła w Piotrusiu. Wszystko, co robił, śmieszyło je i dziwiło, tak jakby Piotruś zmieniał się nieustannie. Tymczasem on był zawsze taki sam, tylko ptaszki zmieniały się ciągle. Ledwie wykłuły się z jajek, a już śmiały się z Piotrusia na całe gardło. Ledwie im urosły skrzydełka, posyłano je do ludzi, a z jajek wykłuwało się nowe pokolenie piskląt. Nieraz zdarzało się, że samiczki znudzone długiem wysiadywaniem piskląt, szeptały leniuszkom, wygrzewającym się w skorupkach, że teraz mogą zobaczyć, jak Piotruś Pan się myje, albo pije wodę, a wtedy ptaszki wyskakiwały z ciekawości do góry, tłukły skorupki i wykłuwały się o cały jeden dzień wcześniej, niżby należało. Tysiące ptaszków zlatywało się codzień dokoła niego i przyglądało mu się z takiem samem zajęciem, z jakiem wy patrzycie na pawia, roztaczającego swój ogon. I wszystkie



darły się z podziwu, kiedy Piotruś brał w rączkę kromkę chleba, zamiast ją podjąć z ziemi ustami. Na rozkaz Salomy ptaszki znosiły mu codziennie kawałki chleba w dziobach, bo ku wielkiemu ich zgorszeniu, Piotruś nie chciał jadać much i robaków. Toteż jeżeli ci kiedy ptak jaki porwie kromkę chleba, to nie krzycz na niego: „Żarłok! Żarłok!“ bo z pewnością ptak odniesie twoją kromkę Piotrusiowi Panu.

Piotruś nie nosił już teraz koszulki nocnej, bo coraz to któryś z ptaków prosił go strzępek płótna dla wzmocnienia swojego gniazdka, a Piotruś zaraz mu kawałeczek oddzierał i byłby ją całą rozdarował, gdyby się w sprawę nie wdał Salomo i nie kazał mu ukryć reszty koszulki w bezpieczny schowek, przykryty kamieniem. Piotruś biegał więc nago po dworze, ale nie myślcie, że mu z tem źle było. Przeciwnie, Piotruś był zawsze wesół, a to dlatego, że Salomo dotrzymał obietnicy i nauczył go wielu rzeczy, które doskonale umieją ptaki. Więc nauczył go radować się z byle czego, nauczył go pracować z ochotą i nauczył go wierzyć, że ta praca jest czemś potrzebnem i ważnem. Ledwie Piotruś oczy otworzył zrana, zaraz zaczynał pomagać ptakom przy budowaniu gniazd i wkrótce umiał sklecić

gniazdko niegorsze od gniazd gołębich. Tylko ziębom dogodzić nigdy nie mógł, więc wykopywał w pobliżu ich gniazd zgrabne dołeczki na wodę i paluszkami wybierał z pod kamieni robaczki dla ich piskląt. Wkrótce posiadł całą wiedzę ptaków; po smaku odróżniał wiatr wschodni od zachodniego, widział jak trawa rośnie i słyszał ruch najdrobniejszych nawet owadów, przechadzających się w głębi spróchniałych drzew. Salomo nauczył go także, co należy czynić, żeby mieć zawsze w sercu radość i wesele. Wszystkie ptaszki mają tę radość w sercach i dlatego śpiewają tak wesoło i radość ta nie opuszcza ich nigdy, chyba że im kto z gniazdka jajka wybierze. Salomo znał się doskonale na ptasich sercach, bo ciągle miał z ptakami do czynienia, więc nie dziw, że mógł i Piotrusiowi tej cennej nauki udzielić.

Piotruś czuł w sercu taką radość, że musiał całymi dniami tańczyć i śpiewać z uciechy tak, jak to robią ptaszki. Ale że był i człowiekiem potroszku, więc nie wystarczało mu samo śpiewanie i wkrótce wykręcił sobie fujarkę z trzciny i wygrywał na niej prześliczne melodye. Wieczorem siadywał na brzegu jeziora i naśladował na fujarce ciche westchnienie wiatru i śpiewne pluskanie fal. Czasem chwytał dło-

nią promienie księżyca i pakował je do fujarki, a wtedy fujarka grała tak pięknie, że ptaszki dopytywały się wzajemnie, czy to naprawdę złota rybka plusnęła w jezioro, czy też Piotruś wygrywa piosenkę o „złotej rybce?“

Czasem znowu Piotruś opowiadał na fujarce, jak to pisklęta na świat przychodzą. Wtedy samiczki unosiły się w gniazdku i oglądały się poza siebie dumne, że zniosły już białe jajeczko.

Kto często bywa w Parku Leśnym, zauważył pewnie, że kasztan różowy, rosnący koło kamiennego mostu, kwitnie najwcześniej ze wszystkich drzew. Mało osób jednak wie, czemu się to dzieje. Oto Piotruś, stęskniony za wiosną, wygrywa wieczorami piosenki o jej nadejściu, a że poczciwy kasztan rośnie najbliżej i słyszy go najlepiej, więc myśli, że wiosna naprawdę już się zbliża i zaraz zaczyna kwitnąć.

Czasem znowu Piotruś zapadał w zadumę; skoczne i wesołe piosenki zmieniały się w żałosne i tęskne. Ach, bo Piotruś widział poprzez łuk kamiennego mostu cudny Park Leśny, do którego jednak dostać się nie mógł. Piotruś dobrze wiedział, że prawdziwym człowiekiem nigdy nie będzie i nie wiele mu nawet na tem zależało. Ale jakże gorąco pragnął

bawić się, jak się bawią prawdziwe dzieci, a wiadomo, że Park Leśny jest wymarzonem miejscem dla wszystkich zabaw. Ptaszki nieraz opowiadały mu, jak świetnie bawią się w parku różne małe dzieci, a wtedy gorzkie łzy napływały do oczu Piotrusia.

Pewnie dziwicie się, że Piotruś nie przepłynął Wężowego jeziora, ale Piotruś nie umiał pływać, a na wyspie nikt, prócz kaczek, nie posiadał sztuki pływania. A kaczki były takie głupie. Wprawdzie z ochotą ofiarowały mu się za nauczycielki, ale uczyły go mniej więcej tak: — Siądź na wodzie, jak ja i wiosłuj nogami, jak ja mojemi wiosłuję. Piotruś próbował po sto razy usiąść jak kaczki i po sto razy wpadał pod wodę, zanim zaczął wiosłować nogami. A kaczki twierdziły, że to jest takie łatwe, że nie warto czasu tracić na objaśnianie tak prostej rzeczy. Przez parę dni bawiła na wyspie para łabędzi, którą Piotruś karmił swoim chlebem w nadziei, że ptaki nauczą go za to pływania, ale kiedy mu zabrakło chleba, niewdzięczne łabędzie syknęły na niego gniewnie i pożeglowały w dal.

Już zdawało się raz Piotrusiowi, że znalazł sposób przedostania się z wyspy do Parku, bo pewnego dnia jakaś cudowna biała rzecz, podobna do gazety

porwanej wiatrem, ukazała się w górze ponad wyspą, jak ptak, któremu postrzał złamał skrzydło, zatrzepotała się parę razy w powietrzu i runęła na ziemię. Piotruś przeląkł się trochę, ale ptaki objaśniły go, że to jest latawiec, który wyrwał się z ręki jakiegoś chłopczyka w Parku Leśnym i przywędrował aż tutaj. A potem wyśmiewały Piotrusia, że się tak rozkochał w tym latawcu. Piotruś nie rozstawał się z nim przez cały dzień, a nawet kiedy zasypiał, kładł go koło siebie i obejmował go jedną rączką. Nic dziwnego, że Piotruś go tak pokochał, bo przecież latawiec ten należał przedtem do prawdziwego chłopczyka.

Tego to już ptaszki zrozumieć nie mogły, ale że starsze ptaki czuły szczerą wdzięczność dla Piotrusia za to, że mnóstwo piskląt wyleczył z odry, więc ofiarowały się pokazać Piotrusiowi, jak się latawca puszcza w powietrze. Sześć ptaków uczepiło się jego dzióba i ku szalonej radości Piotrusia latawiec się uniósł w górę, a nawet latał wyżej od ptaków.

Piotruś wołał: — „Jeszcze!“ — a gdy ptaszki niezmordowanie powtarzały zabawę, Piotruś zamiast im podziękować, klaskał w ręce z uciechy i wołał: „jeszcze! jeszcze! jeszcze!“. Widać, że niezupełnie zapomniał, że był kiedyś prawdziwym chłopczykiem.

I raptem w mężnem sercu Piotrusia zrodził się plan następujący: poprosi ptaszki, żeby raz jeszcze uniosły w górę latawca, a wtedy uczepi się jego ogona i uniesie się nad Park Leśny. W okamgnieniu cała setka ptaków zaprzęgła się do latawca i Piotruś oburącz chwycił się jego ogona... ale zanim doleciał do Parku Leśnego, latawiec na znacznej już wysokości rozleciał się na kilka kawałków i Piotruś byłby się pewnie utopił w Wężowem jeziorze, gdyby nie pomoc niewdzięcznych łabędzi, które go wydobyły z wody i odwiozły na grzbietach do Ptasiej wyspy. Po tej przygodzie ptaszki stanowczo odmówiły mu swej pomocy w tak karkołomnych wyprawach.

I nigdyby się Piotruś nie był dostał do Parku Leśnego, gdyby mu nie przybył z pomocą stateczek Shelley'a.







ROZDZIAŁ III.

GNIAZDECZKO DROZDÓW.

PEWNEGO razu przechadzał się po Parku leśnym młody człowiek, który nazywał się Shelley. Shelley był już oddawna dorosły, ale wcale na to nie wyglądał. Shelley był poetą, a poeci zawsze robią takie wrażenie, jakby coś z dziecka w nich pozostało. Poeci wcale nie dbają o pieniądze i radzi są, jeżeli mają tyle, ile im trzeba na przeżycie jednego dnia. A właśnie Shelley miał ponadto banknot dziesięciofuntowy. Więc zrobił zeń mały stateczek i puścił go na Wężowe jezioro.

Stateczek dopłynął szczęśliwie do Ptasiej wyspy, a warta odniosła go do kruka Salomy. Salomo myślał, że to jest zlecenie jakiejś damy, domagającej się o „towar w najlepszym gatunku". Salomo otrzymywał codzień całe tuziny takich listów. Jeżeli list mu się podobał, wysyłał towar wyborowy, ale najczęściej bileciki te tak go gniewały, że bądź wcale

nie odpowiadał na nie, bądź też wysyłał całe gniazdo bylejakich piskląt. Salomo najlepiej lubi, żeby wszystko zostawić jego własnej głowie — bo jeśli kto mu tylko napomknie, że tym razem spodziewa się chłopczyka, to jak dwa a dwa cztery, dostanie znowu dziewczynkę. Każdy kto pisze do Salomy, czyby to była dorosła osoba, czy mały chłopczyk, który koniecznie pragnie mieć małą siostrzyczkę, powinien bardzo dokładnie podać swój adres. Nie macie pojęcia, ile niemowląt rozsyła codzień Salomo pod fałszywym adresem.

Strach co sobie Salomo głowy nałamał, kiedy mu doręczono stateczek Shelleya. W żaden sposób nie mógł zrozumieć, co ten bilecik oznacza, więc wezwał całą Wielką radę do pomocy. Radcy spoglądali na banknot to jednem, to drugiem okiem, każdy przejechał po nim szponem i wreszcie orzekli, że list ten musi pochodzić od jakiejś wysoko położonej osobistości, która życzy sobie mieć dziesięcioro dzieci naraz. Twierdzenie to opierali na liczbie dziesięć wypisanej wyraźnie na banknocie.

— Istne waryactwo! — krzyknął w pasyi Salomo i podarował banknot Piotrusiowi.

Wszystkie niepotrzebne rzeczy dawano zawsze Piotrusiowi do zabawy.

Ale pomimo, że Piotruś tylko przez tydzień był prawdziwym chłopczykiem, niejedno zapamiętał z pobytu swego między ludźmi i dobrze wiedział, jaką wartość ma taki banknot.

Toteż z radością przyjął podarunek, bo zaraz mu przyszło na myśl, że przy pomocy tak znacznej ilości pieniędzy, bez trudu dostanie się do Parku leśnego. Tysiąc pomysłów snuło mu się po głowie, ale Piotruś nauczony doświadczeniem z latawcem, postanowił bardzo dokładnie rozważyć wszystkie przeciwności, zanim rozpocznie nową wyprawę. Zaraz też objaśnił ptaki, jaką wartość ma ten stateczek Shelleya, bo wiedział, że ptaki są zbyt dobrze wychowane, by żądać od niego zwrotu rzeczy, która mu została ofiarowana. Rzeczywiście, ptaki nie odebrały mu banknotu, ale tak kręciły głowami i tak koso spoglądały na Salomę, że zawstydzony kruk zaczął sam powątpiewać o swoim rozumie, odleciał na drugi koniec wyspy i z wielkiego wstydu schował głowę pod skrzydło. Piotruś wiedział, że bez pomocy Salomy nie da sobie rady na wyspie, więc podążył za nim i w serdecznych słowach dodał mu otuchy.

Piotruś użył jeszcze innego sposobu, by zupełnie pozyskać przyjaźń starego kruka. Wiedział, że Salomo pragnie po wysłużeniu emerytury przenieść się

do Gaju figowego i tu żyć na pieńku cisowym, z pensyi i kapitaliku, który od lat już całych składał w starej pończosze. Pończochę tę, należącą zapewne do jakiejś zwyczajnej osoby, wiatr zaniósł na Ptasią wyspę, a Salomo użył jej za kasę oszczędności. Pończocha zawierała już: sto osiemdziesiąt ośródek chleba, trzydzieści cztery orzechy, szesnaście skórek, jedną wycieraczkę do piór i jedno sznurowadło od bucika — ale Salomo postanowił nie podawać się do dymisyi, póki pończocha nie będzie wyładowana po brzegi. Salomo obliczył, że mniejszy kapitał nie wystarczyłby mu do spokojnego życia w Figowym gaju.

Otóż Piotruś pozyskał dozgonną przyjaźń Salomy w ten sposób, że ostro zakończonym patyczkiem odciął ze swego banknotu kawałek papieru wielkości 50 groszy i ofiarował go krukowi. Kruk nie posiadał się z radości i od tej chwili przemyśliwał wraz z Piotrusiem nad jego podróżą do Parku leśnego. Całymi dniami roztrząsali najróżniejsze projekty i wreszcie zwołali walne zgromadzenie wszystkich drozdów, zamieszkujących Ptasią wyspę. A czemu wybrali drozdy — o tem się zaraz dowiecie.

Posiedzenie zagaił Salomo. Piotruś odstąpił głos krukowi, bo Salomo zawsze się gniewał w czasie


Arthur Rackham 06

przemówień innych mowców. Salomo zaczął od wyrażenia szanownemu zgromadzeniu drozdów głębokiego podziwu dla genialnych zdolności, jakie wykazują przy budowie swych gniazd. Szmer zadowolenia rozległ się między drozdami, bo ptaki nieustannie toczą spory o to, czyje gniazdko jest najtrwalsze i najpiękniejsze.

— Nie wszystkie ptaki — mówił Salomo, rad że udało mu się wprawić drozdy w dobry humor — nie wszystkie ptaki wylepiają gniazda swoje gliną. To też nie dziw, że gniazda ich są przemakalne!... — Tu Salomo z dumą powiódł okiem po zgromadzeniu, rad ze znalezienia tak świetnego argumentu.

Na to Jejmość Zięba, która nieproszona wcisnęła się na zgromadzenie, pospieszyła wetknąć swoje trzy grosze: — Przecież gniazda buduje się dla piskląt, nie na wodę! — zaskrzeczała drwiąco. Drozdy spojrzały niespokojnie na Salomę; kruk zaskoczony uwagą Imć Zięby, wypił raz po raz kilka łyków wody. Biedaczysko zapomniał języka w dzióbie.

— Ogólnie wiadomo — zaczął znów po chwili — jakie ciepłe są gniazdka, wylepione gliną.

— Ogólnie wiadomo — wrzasnęła w odpowie-

dzi Zięba — że jeśli woda napłynie do gniazdka, z którego niema odpływu, to wszystkie pisklęta się potopią!

Drozdy błagalnie spojrzały na Salomę, spodziewając się, że jednem słowem ukróci gadaninę Jejmość Zięby, ale zakłopotany Salomo znowu zamilkł.

— Pociągnij-no jeszcze łyczek, staruszku! — zachęcała drwiąco Jejmość Zięba. Na imię jej było Kaśka, a wiadomo, że wszystkie Kaśki są strasznie przekorne.

Salomo wypił znowu łyk wody i jakoś mu się lżej zrobiło.

— Jestem pewien, że gdyby gniazdo zięby wpadło do Wężowego Jeziora, rozleciałoby się w kawałki — rzekł, — a gniazdo drozdów płynęłoby po wodzie, jak najlepszy żaglowiec!

Dopieroż-to drozdy zaczęły bić brawo! Nareszcie dowiedziały się, do czego służy glina, którą wylepiały gniazda. A gdy Jejmość Zięba zaczęła drzeć się, że gniazd nie buduje się na Wężowem jeziorze, tylko na drzewach, wyproszono ją z sali obrad. Potem szło już wszystko doskonale, aż do chwili kiedy Salomo powiedział:

— Nasz młody przyjaciel Piotruś Pan pragnie gorąco przepłynąć Wężowe jezioro i prosi szanowne

zgromadzenie o udzielenie mu pomocy przy budowaniu statku.

Na to między drozdami powstała taka wrzawa, że Piotruś był pewny, że sprawa jego przepadła zupełnie.

Ale Salomo tłumaczył dalej jasno i dobitnie, że Piotrusiowi nie idzie o statek, jakiego zwykle używają ludzie. Chciałby poprostu mieć gniazdko, byle tak duże, by módz pomieścić się w jego wnętrzu.

Widocznem było, że prośba ta nie trafia drozdom do gustu. — My tam nie mamy czasu do tracenia, dość mamy dla siebie roboty — mruknął wreszcie jeden ze starszych drozdów.

— Zapewne — odparł Salomo — toteż Piotruś Pan nie chce, żebyście mu pomagali za darmo. Ale jak wiecie, stosunki jego materyalne poprawiły się bardzo w obecnej chwili. Właśnie Piotruś Pan polecił mi zawiadomić was, że każdy robotnik otrzyma dziennej płacy groszy 10!!

Drozdy zatrzepotały się z radości i zaraz przystąpiły do budowy statku Piotrusia. Musiano przerwać wszystkie inne roboty. Była to właśnie pora zakładania gniazd, ale drozdy nie miały czasu myśleć o sobie, bo całymi dniami pracowały dla Pio-

trusia. Wkrótce też zapas małych drozdów zupełnie się wyczerpał i Salomo był w niemałym kłopocie, bo nie wiedział, czemby je zastąpić. A właśnie zamówień na pisklęta drozdów napływało mnóstwo, bo najtłuściejsze dzieci, te co tak wspaniale prezentują się w wózkach, a postawione na ziemi przewracają się co kroku, pochodzą od drozdów i wszystkie panie przepadają wprost za niemi. Toteż Salomo nie miał innego sposobu, jak zwołać wszystkie wróble, gnieżdżące się pod strzechami domów i szop i dać im za mieszkanie opuszczone gniazdka drozdów. Wróble całą chmarą zleciały się na Ptasią wyspę, a gdy się ich pisklęta wykłuły, Salomo porozsyłał je paniom, zaręczając, że są to najprawdziwsze drozdy.

Rok ten nazywano na Ptasiej wyspie Wróblim rokiem i jeśli zdarzy ci się spotkać w parku kogoś, co się puszy i nadyma i wyobraża sobie, że jest wart o wiele więcej, niż inni ludzie, to możesz być pewny, że urodził się w Wróblim roku. Spytaj go zresztą o to.

Piotruś sumiennie wypłacał robotników każdego wieczora. Drozdy z powagą zasiadały na gałęziach drzew i czekały cierpliwie, żeby Piotruś odciął 10 groszy ze swego banknotu. Potem każdy po kolei

podlatywał ku Piotrusiowi, brał w dzióbek należący mu się papierek i ustępował miejsca drugiemu. Ślicznie to wyglądało.

Po kilku miesiącach uciążliwej pracy, stateczek Piotrusia był gotów. Nie potrafię opisać wam radości i dumy, jaką wzbierało serduszko Piotrusia, na widok rosnącego z dnia na dzień gniazdka. Ledwie drozdy rozpoczęły budowę stateczku, Piotruś pokochał go tak mocno, że nie opuszczał go ani na chwilę, a nawet w nocy nie chciał się z nim rozłączyć. Kładł się spać tuż obok niego i często przez sen gładził go rączką i przemawiał doń najczulszemi wyrazami. Ledwie glina wylepiająca wnętrze gniazdka przeschła nieco, Piotruś zamieszkał w nim na dobre. Do dzisiaj jeszcze w nim sypia, a co najśmieszniejsze, że musi leżeć w nim zwinięty w kłębuszek jak kociak, bo inaczej nie mógłby się w nim pomieścić. Wnętrze gniazdka jest brunatne — na zewnątrz przeważnie zielone, bo ptaszki przystroiły je mchem i trawą. Ma to tę praktyczną stronę, że jeśli się wierzch podrze albo rozeschnie, można go zawsze zastąpić nowym. Z gniazdka sterczą gdzieniegdzie pióreczka, które drozdy potraciły przy budowaniu i wmurowały w gniazdeczko.

Ptaki bardzo zazdrościły drozdom ich pracy

i zapowiadały, że gniazdko nie utrzyma się na wodzie. Ale gniazdko leżało na wodzie jak najlepsza łódeczka. Więc ćwierkały znowu, że tylko patrzeć, jak woda naleje się do środka. Ale woda się nie nalała i gniazdko było zupełnie suche. Więc zaczęły wołać, że Piotruś nie będzie mógł płynąć po Wężowem jeziorze, bo nie ma wioseł. Drozdy z niepokojem spojrzały na Piotrusia, ale Piotruś zapewnił je, że wioseł wcale mu niepotrzeba, bo do statku przymocuje żagiel. To powiedziawszy, wydobył ze schowka resztki swojej nocnej koszulki i nie zważając, że każdy mógł poznać, że to jest koszulka, sporządził z niej wspaniały żagiel. W parę dni później, kiedy ptaszki zasnęły twardo a księżyc oświetlał jasno wyspę, Piotruś pokryjomu wybrał się w podróż. Ale zanim odbił od brzegu, bezwiednie złożył obie rączki i wzniósł oczy ku niebu, a potem ujął ster i popłynął na zachód.

Coprawda Piotruś przyrzekł drozdom, że zanim przedsięweźmie wyprawę do Parku leśnego, wypróbuje stateczek pod ich okiem. Zaledwie jednak dojrzał pod łukiem kamiennego mostu drzewa parku, ciemniejące w księżycowem świetle, — gorący rumieniec oblał jego twarzyczkę. Zapomniał o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża, i począł płynąć na-


Arthur Rackham

przód. Kto wie, czy Piotruś Pan nie był ostatnim z dzielnych żeglarzy, który popłynął na zachód, by odkrywać nowe, nieznane kraje... Statek Piotrusia kręcił się najpierw w kółko i ciągle powracał do brzegu. Wtedy Piotruś rozpiął żagiel i puścił statek na los szczęścia. Wicher wzdął żagiel i począł gwałtownie pchać statek ku przeciwległemu brzegowi, gdzie majaczyły groźne zarysy skał, o które statek mógł się rozbić jak łupina. Piotruś szybko pociągnął żagiel ku sobie i dzięki temu przestrzeń między statkiem a skalistym brzegiem poczęła się zwiększać; teraz zaczął dąć wiatr od wschodu i z taką siłą rzucił stateczkiem o podstawę kamiennego mostu, że omal go nie rozbił na kawałki. Na szczęście udało się Piotrusiowi przebrnąć jakoś fatalny przesmyk popod łukiem mostu i wypłynąć na pełne jezioro. Możecie sobie wyobrazić, jak się ucieszył, kiedy zobaczył, że jest w Parku leśnym. Próżno jednak usiłował wylądować, cały brzeg był szczelnie obmurowany i nigdzie nie można było zarzucić kotwicy. Kotwicą statku był duży kamień przywiązany do sznurka, urwanego z popsutego latawca. Nagle pęd fali rzucił gniazdko na skałę podwodną, a uderzenie było tak silne, że Piotruś wypadł z gniazdka i omal się nie utopił. Ostatkiem tchu wydźwigał

się w górę i wskoczył do statku z powrotem. Szum i łoskot wody ogłuszał zupełnie małego żeglarza. Paluszki jego tak zgrabiały od zimna, że każdej chwili mogły wypuścić ster. Szczęściem udało mu się nareszcie wpłynąć do cichej i bezpiecznej zatoki.

Nie myślcie jednak, że nic już teraz nie groziło Piotrusiowi Panu, bo ledwie dopłynął do brzegu, tłumy elfów zebrały się na brzegu i poczęły krzyczeć, żeby nie ważył się wylądować w parku, bo już oddawna jest „po dzwonku". Jedne machały rękami, inne potrząsały wojowniczo kolcami palmowemi, jeszcze inne przywlokły strzałę od łuku, zgubioną w parku i ustawiły ją nawprost Piotrusia, jakby zamierzały wystrzelić z niej, jak z armaty. Próżno Piotruś zapewniał je, że nie jest prawdziwym człowiekiem i że nie ma zamiaru wyrządzić im nic złego, elfy nie przestawały mu grozić śmiercią, w razie gdyby ośmielił się wyjść na brzeg. Piotruś zniecierpliwił się w końcu i zawołał, że jeśli go nie zostawią w spokoju, to przepędzi je gdzie pieprz rośnie. Elfy ustawiły się do ataku i kto wie coby się było stało, ale raptem pomiędzy kobietami wszczął się jakiś ruch, rozległy się krzyki i piski, bo oto elficzki spostrzegły, że żagiel w łodzi Pio-

trusia zrobiony jest z dziecinnej koszulki nocnej. Wszystkie natychmiast zapłonęły gorącą macierzyńską miłością ku Piotrusiowi i do łez się martwiły, że są zbyt maleńkie, żeby go wziąć na kolana, upieścić i utulić. Gniew elfów stopniał także wobec roztkliwienia ukochanych małżonek; setki rąk wyciągnęły się z pomocą ku Piotrusiowi, a gdy wylądował i umocował gniazdko swe na brzegu, elfy w tryumfie powiodły go przed oblicze królowej. Królowa długo naradzała się z ministrami, poczem orzekła, że wobec tego, że Piotruś nie jest prawdziwym człowiekiem tylko „ni tem, ni owem“, będzie mógł pozostawać w Parku leśnym i „po dzwonku“. Od tej pory żyje Piotruś z elfami na najlepszej stopie.

Tak się odbyła pierwsza wyprawa Piotrusia Pana do Parku leśnego. Dawno to już, bardzo dawno temu, ale jak wiecie Piotruś nie rośnie i nie zmienia się wcale, i dziś tak samo jak i przed laty, jeździ po Wężowem jeziorze w gniazdeczku drozdów z żagielkiem, zrobionym z koszulki nocnej. I gdybyście go zobaczyć mogli (choć niestety jest to zupełnie niemożliwe) widzielibyście, że kiedy Piotruś żagluje, to siedzi w stateczku, bo żagiel popycha gniazdko na wodę, a kiedy stoi, to wiosłem

pruje fale wodne. Bo teraz Piotruś ma i wiosło; później dowiecie się, skąd się wzięło.

Noc w noc, zanim świt nastanie, na długo przed otwarciem parku, wraca Piotruś na Ptasią wyspę. Piotruś nie jest prawdziwym człowiekiem, więc musi pozostać niewidzialnym dla oczu ludzkich. Ale każdej nocy spędza w parku po kilka godzin i bawi się jak prawdziwe dziecko. To znaczy, Piotruś wyobraża sobie tylko, że tak jak on, bawią się prawdziwe dzieci i nic zabawniejszego nad to jego przekonanie, bo prawdę mówiąc, Piotruś bawi się zawsze „na opak“.

Nikt nie może pouczyć Piotrusia, jak się bawią prawdziwe dzieci, bo elfy przebywają w swoich domkach aż do zmroku, więc nie bardzo wiedzą, co się za dnia w parku dzieje, a jeśli już zmuszone są wyjść na dwór, to przedewszystkiem myślą o tem, jakby się ukryć przed ludźmi, — ptaki znowu pewne są, że widzą wszystko, ale z opowiadań ich i objaśnień nic wyrozumieć nie można. Jeszcze zabawę w „chowanego“ wytłumaczyły Piotrusiowi jako tako, ale czemu n. p. wszyscy chłopcy czują taki pociąg do Okrągłego stawu, że bony ich od brzegu odciągnąć nie mogą, tego mu nawet kaczki powiedzieć nie umiały. A przecież kaczki

całymi dniami krążą po Okrągłym stawie. Co prawda jedyną rzeczą, która je zajmuje, jest ilość kawałków piernika i bułek wyławianych z wody. Są to po większej części istoty zgorzkniałe, utyskujące nieustannie, że pierniki obecnie są mniej pożywne i smaczne, niż były za czasów ich młodości.

Musiał więc Piotruś sam sobie radzić. Puszczał statki na wodę, ale okrętem jego była drewniana obręcz, znaleziona na trawniku. Piotruś nie widział nigdy, co dzieci robią z obręczą, więc myślał, że to jest ich statek i rzucił obręcz na wodę. Obręcz odrazu upadła na dno; Piotruś wydobył ją z niemałym trudem, a potem z uciechą wlókł ją po trawniku, pewny, że odkrył, jak się obręczą bawią prawdziwe dzieci.

Innego razu Piotruś znalazł na piasku małe, blaszane wiaderko. Pewny, że to stołeczek do siadania, usiadł na wiaderku i jak się zapadł weń, tak ani rusz wydobyć się z niego nie mógł. Raz znowu dojrzał zdaleka, wzdęty powietrzem balonik. Balonik zlatywał właśnie z Wyścigowej góry, wlokąc ze sobą sznurek. Piotruś słyszał od pewnego mysikrólika, że chłopcy bawią się nieraz w parku w piłkę nożną. Pewny, że to piłka nożna, rzucił się w pościg za balonikiem, a gdy go nareszcie pochwycił,

tak energicznie kopnął go nogą, że balonik znikł jak kamfora.

Ale największy podziw wzbudził w nim pewien dziecinny wózek. Wózek stał najspokojniej w pobliżu zimowego pałacu królowej elfów (to znaczy pośrodku klombu otoczonego siedmiu hiszpańskimi kasztanami). Piotruś na palcach zbliżył się do wózka, bo o takiem zwierzęciu nigdy mu ptaszki nie wspominały. Piotruś był pewny, że wózek jest żywy i przemówił do niego. Wózek nic mu nie odpowiedział, więc Piotruś podszedł jeszcze bliżej i dotknął go końcem palców. Pchnięcie to wystarczyło, by wózek zaczął się toczyć w tył. Piotruś był pewny, że wózek umyka przed nim i to natchnęło go wielką odwagą. Pobiegł za wózkiem i chwyciwszy go, pociągnął ku sobie. Wtedy wózek, zaczął się toczyć wprost na niego, co tak przeraziło Piotrusia, że bez tchu pognał najbliższemi ścieżkami do swego gniazdka i zwinął się w niem w kłębuszek. Nie myślcie jednak, że Piotruś Pan był bojaźliwy. Zaraz nazajutrz wybrał się w odwiedziny do wózka z kijem w jednej, a okruchem chleba w drugiej ręce. Ale wózka już nie było i Piotruś więcej go już nie zobaczył.

Jeszcze mam wam powiedzieć, skąd się wzięło

wiosło Piotrusia Pana. Otóż była to drewniana łopatka porzucona niedaleko studni. Piotruś był pewny, że to wiosło; ile razy wiatru nie było, używał jej do wiosłowania.

Może litujecie się nad Piotrusiem, że nie umiał się bawić jak należy? Wierzcie mi jednak, że choć wszystko robił na opak, źle mu z tem nie było. I dlatego litowanie się nad nim nie miałoby żadnego sensu. Przecież Piotruś był przekonany, że noc jest najwłaściwszą porą do zabawy i choć bawił się inaczej niż prawdziwi chłopcy, niemniej bawił się doskonale, bo był pewny, że tak właśnie bawić się należy. A jeśli się wierzy, że się coś posiada, to tak jakby się to naprawdę posiadało. Piotruś bawił się bez przerwy, bo nigdy nie tracił ani minuty na dąsy i grymasy, które wam tyle czasu zabierają. Tego Piotruś wcale nie umiał, ale czy dlatego należy ubolewać nad nim?

Wierzcie mi, Piotruś był naprawdę szczęśliwy. Był o tyle szczęśliwszy od was, o ile wy szczęśliwsi jesteście od waszego ojca. Czasem z wielkiej uciechy wywracał kozły na murawie. Może widzieliście kiedy młodego wyżła przesadzającego rowy i płoty? Piotruś potrafi to jeszcze lepiej.

A w dodatku Piotruś umiał grać na fujarce!

Nieraz panowie, wracający późną nocą do domu, drukują w gazetach, że słyszeli słowika śpiewającego w Parku leśnym. Poczciwcy nie domyślają się nawet, że to, co biorą za śpiew słowika, jest muzyką Piotrusia Pana. Tylko — tylko Piotruś Pan nie miał matki... Prawda, ale sami powiedzcie, czy mu ta matka była bardzo potrzebna? A zresztą skoro się tak bardzo tem martwicie, to powiem wam, że Piotruś Pan wrócił do niej. A pomogły mu w tem elfy.





ROZDZIAŁ IV.

PO DZWONKU.

NIEZMIERNIE trudno dowiedzieć się czegoś o elfach, jedno jest tylko pewne, że elfy przebywają zawsze w miejscach, gdzie się bawią dzieci. Dawnymi czasy, kiedy dzieci nie miały wstępu do Parku leśnego, nie było w nim ani jednego elfa. Ale zaledwie zakaz ten cofnięto i dzieci poraz pierwszy przybiegły bawić się w parku, tłumy elfów nadciągnęły wieczorem za niemi. Poprostu elfy nie mogą

żyć bez dzieci. Tylko, że w dzień trudno je zobaczyć, bo przebywają bądź pod ziemią, bądź na trawnikach i klombach odgrodzonych słupkami z drutem albo siatką drucianą. A także i dlatego, że w dzień są bardzo chytre i przebiegłe, a co najzabawniejsze, że „po dzwonku“ nie są już ani trochę chytre, ani przebiegłe.

Kiedy byliście ptaszkami, znaliście się z elfami, doskonale a nawet później już jako niemowlęta niejedno jeszcze pamiętaliście z czasów, kiedyście przebywali wśród nich. Nie mogę odżałować, że takie maleństwa w powijakach nie umieją pisać, bo w miarę jak podrastają, zapominają wszystko, tak, że ja sam znałem dzieci, które mnie zapewniały, że nigdy nie widziały elfa. A ręczę, że w chwili kiedy to mówiły, tuż przed niemi uwijało się mnóstwo elfów. Ale cóż z tego, kiedy tak trudno je poznać, bo ci mali figlarze zawsze udają, że są czemś innem, niż elfami. Najczęściej przebierają się za kwiaty, bo dwór królewski mieści się w Kotlinie elfów i wzdłuż Aleji dzidziusiów, gdzie rośnie ich najwięcej. Suknie elfów robione są na wzór kwiatów — mody ich zmieniają się odpowiednio do pory ich kwitnienia. W czasie kwitnienia lilij przeważa w ich strojach barwa biała, w porze dzwonków — różowa i błękitna. Nie-


Arthur Rackham 1912



które barwy cieszą się ich szczególnymi względami — wszystkie elfy n. p. przepadają za krokusami i hyacyntami. Na ogół wolą barwy delikatne od jaskrawych, dlatego też rzadko bardzo odziewają się w sukienki tulipanowe, bo żywe ich kolory nazbyt wpadają w oko. Ale bardzo chętnie używają kielichów białych tulipanów za kolebki dla swych niemowląt.

Skoro im się zdaje, że nikt na nie nie patrzy, pląsają wesoło po trawnikach i klombach, a kiedy dojrzą człowieka i nie mają czasu ukryć się przed nim stają nieruchome, jakby wrosły w ziemię i udają, że są kwiatami. Nieraz przechodzisz tuż koło nich i nie domyślasz się nawet, że to są elfy a ledwie je miniesz, gnają co tchu do domu i opowiadają swojej mamie, jakiego ci wypłatały figla. Jak wiecie, cała kotlina elfów pokryta jest bluszczem wijącym się po ziemi, (z niego robią elfy swój olej rycynowy) gdzieniegdzie tylko wystrzelają pęki kwiatów. Otóż niektóre są kwiatami, a inne przebranemi za kwiaty elfami. Trudno bardzo rozpoznać elfa, najlepiej przechodząc koło kwiatu, który się podejrzewa, że jest przebranym elfem, udawać, że się nie zwraca na niego uwagi, a potem szybko obejrzeć się poza siebie. Danio wymyślił jeszcze inny sposób. Jeżeli ma podejrzenie, że kwiat jakiś jest elfem,

staje w miejscu i patrzy na niego dopóty, póki elf zmęczony nieruchomością nie poruszy się. Wtedy ma już pewność, że kwiat ten jest elfem. Wzdłuż Aleji dzidziusiów kręci się ich zawsze całe mrowie, bo tu im się łatwo ukryć w rabatach kwiatowych. Ale czasem i elfom zdarzają się różne przygody. Posłuchajcie tylko, co spotkało pewną pensyę dziewczynek.

Było ich dwadzieścia cztery; wyszły właśnie ze szkoły w towarzystwie nauczycielki i zamierzały odbyć codzienną przechadzkę wzdłuż nieobsadzonej jeszcze rabaty, gdy raptem nauczycielka stanęła i znacząco położyła palec na ustach. Wszystkie dziewczynki odziane były w hyacentowe mundurki, więc na znak nauczycielki stanęły jak wryte na rabacie i udały, że są prawdziwymi hyacyntami. Nauczycielka usłyszała jakiś podejrzany szelest i rzeczywiście ledwie pensyonarki przemieniły się w kwiaty, nadeszło dwóch ogrodników z wielką paką świeżych kwiatów. Ujrzawszy rabatę obsadzoną już szafirowymi hyacyntami, obaj ogrodnicy popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. — Czyż nie szkoda wysadzać takich pięknych hyacyntów? — zapytał pierwszy. — Wiesz, że taki jest rozkaz księcia — odparł drugi i nie namyślając się dłużej, poczęli wydzierać hyacynty

z rabaty. Potem wszystkie pensyonarki razem z nauczycielką wrzucili na taki, wywieźli poza ogród i wysypali na kupę nawozu. Naturalnie biedaczki nie śmiały nawet okiem mrugnąć, żeby nie zdradzić się, że są elfami i leżały na nawozie aż do zmroku. „Po dzwonku" dopiero odważyły się wrócić do domów, ale w pośpiechu pogubiły trzewiczki i rodzice tak się rozgniewali, że wszystkie dziewczynki odebrali z pensyi i biedna przełożona musiała pensyę zwinąć.

Co do mieszkań elfów, to szkoda ich szukać, bo ich mieszkania są widzialne tylko w nocy. Domy ich malowane są na kolor nocy, a że nocy za dnia nikt widzieć nie może, więc i mieszkań elfów dojrzeć niepodobna. Ale nie sądźcie, że wszystkie ich barwy są czarne — broń Boże — noc ma te same barwy co dzień, tylko bledsze o kilka tonów. Czerwień, zieleń i błękit nocy są podobne do dziennych, tylko daleko bardziej przejrzyste.

Pałac królowej elfów jest jedną z najpiękniejszych rezydencyi królewskich. Zrobiony jest z kolorowych szkiełek i królowa się uskarża, że pospólstwo od samego rana oblega pałac, żeby widzieć, co królowa robi. I tak cisną nosy do ścian, że przynajmniej połowa elfów ma nosy spłaszczone albo

zadarte do góry. Ulice i chodniki są na przestrzeni kilku mil wysłane miękką, białą materyą wełnianą, ale że ptaki często wyrywały po kawałku chodnika na podściółkę do swoich gniazd, więc elfy na każdym rogu ulicy ustawiły teraz policyanta.

Jedna wielka różnica zachodzi między ludźmi a elfami; oto elfy nie robią nigdy nic pożytecznego. Kiedy pierwsze dzieciątko ludzkie zaśmiało się po raz pierwszy, śmiech jego rozsypał się w miliony okruszków, które poczęły wirować po ziemi i wirowały dopóty, póki się z nich nie zrobiły elfy. Drobny ten ludek pracuje niezmordowanie od świtu do nocy, ale gdybyś się którego elfa zapytał co zrobił właściwie, okazałoby się, że nic zupełnie. Co chwila porzucają jedną robotę, żeby zacząć inną, i to trwa przez cały dzień. Nieuki z nich straszne — jedno tylko potrafią doskonale: płatać figle i w pole wyprowadzać ludzi. We wszystkiem usiłują nas naśladować, mają więc n. p. swojego listonosza, ale listonosz obchodzi domy ze swoją torbą tylko na Boże Narodzenie. Budują prześliczne szkoły, ale nauka nie odbywa się w nich nigdy; najmłodsze dziecko uznane jest zawsze za najmędrsze ze wszystkich i ono bywa nauczycielem. Ale zaledwie wywoła imiona uczniów i uczennic, zaraz cała klasa idzie na

spacer i już nie wraca więcej do szkoły. W domu także najmłodsze z dzieci rządzi wszystkimi — najmniejsze dzieci bywają również obierane na królów i królowe. Niemowlęta pamiętają o tem dobrze i choć później są pomiędzy ludźmi, myślą, że im jeszcze jak dawniej wszystko wolno.

Dziwicie się pewnie nieraz, czemu wasza malutka siostrzyczka zawsze robi co innego, niżby sobie życzyła mama, albo piastunka. Siada, kiedy powinna stać, wstaje — kiedy chcą, żeby siedziała, dokazuje, kiedy ją ułożono do snu i w najładniejszej sukience raczkuje po podłodze. I myślicie, że malutka robi to z przekory i uporu? Tymczasem siostrzyczka wasza żyje jeszcze życiem elfów i przez pierwsze dwa lata swego życia, będzie robiła to wszystko, czego się nauczyła u nich. Potem dopiero w miarę jak się oswoi z ludźmi, zacznie ich naśladować. Wszystkie gwałtowne wybuchy płaczu i gniewu u niej, przypisuje mama wykłuwaniu się ząbków. Mnie się zdaje, że przyczyna leży w czem innem. Oto w każdem malutkiem dziecku budzi się rozżalenie, że nikt z otoczenia nie rozumie języka, jakiem się ono posługuje. A przecież ono mówi językiem elfów. Jeszcze czasem matki i piastunki rozumieją, że n. p. „dia“ znaczy „podajno mi to bliżej“ „wa?“ —

„czemu włożyłaś dziś na głowę taki śmieszny kapelusz?“, bo obcując ciągle z dziećmi, połapały coś niecoś i z języka elfów.

Danio nieraz próbował przypomnieć sobie trochę z ich mowy, za pomocą pociskania skroni obu dłońmi. I rzeczywiście przypomniał sobie kilka zdań, które wam powtórzę kiedyindziej, jeżeli ich jeszcze nie zapomniałem. Językiem tym mówił Danio, kiedy był jeszcze drozdem, sądziłem więc, że jest to może język ptaków, a nie elfów — ale Danio mnie zapewnił, że jest-to język elfów, bo w zdaniach tych jest mowa o różnych figlach, a ptaki mówią zawsze tylko o swoich gniazdach. Danio pamięta dobrze, że ptaki przelatują z drzewa na drzewo, zaglądają do gniazd sąsiadów i rozmawiają tak: — „Ten kolor nie bardzo mi się podoba pani dobrodziejko“, albo: „czy szanowny pan sądzi, że pościółka będzie dość ciepła?“ albo jeszcze: — „Ależ to obramowanie jest okropne!“ i t. p.

Elfy tańczą znakomicie, dlatego i maleńkie dzieci strasznie lubią się kręcić w kółko i aż piszczą z uciechy, kiedy się z niemi tańczy. Bale elfów odbywają się zawsze na świeżem powietrzu; ich plac zabawy nazywa się „czarodziejskim kręgiem“. Nieraz w kilka tygodni po balu można jeszcze odnaleźć

na trawniku ślady ich gwałtownego wirowania. Czasem w kręgu takim znajdują się i grzyby. Są to stołki elfów, których służba nie zdążyła uprzątnąć i pozostawiła na placu zabawy. Wygnieciona trawa i porozrzucane grzyby są jedynymi dowodami nocnej zabawy elfów; napewno sprytne elfy nie omieszkałyby zatrzeć i tych śladów, ale z takiem roznamiętnieniem tańczą do ostatniej prawie sekundy, że już nie mają na to czasu. Raz, kiedyśmy weszli z Daniem zaraz po otwarciu bramy parku, odkryliśmy „czarodziejski krąg“ jeszcze zupełnie ciepły.

Kto uważnie patrzy na tablicę znajdującą się przy wejściu, może łatwo odgadnąć, kiedy elfy urządzają bal u siebie. Zapewne pamiętacie, że na tablicy tej jest naznaczona godzina zamknięcia parku. Otóż elfy, pragnąc wcześniej rozpocząć zabawę, zdejmują tablicę i na jej miejsce wieszają inną z liczbą $6\frac{1}{2}$ zamiast 7. Ludzie nie domyślając się podstępu, wychodzą z parku o pół godziny wcześniej, niż zwykle, a elfy odrazu zaczynają hulać w najlepsze.

Gdybyśmy jak mała Tonia Mamering mogli bodaj jedną noc spędzić w Parku leśnym, ujrzelibyśmy najcudowniejsze widowiska, jakie sobie wyobrazić tylko można. Tłumy najśliczniejszych elfów i elficzek

ciągną na bal ze wszystkich stron. Mężowie obejmują czule swoje żony, a kawalerowie ustrojeni w mundury niosą treny dam. Przed orszakiem biegną pachołcy z pochodniami, zrobionemi z gałązek żórawinek. To są latarki elfów. Najpierw damy udają się do garderoby, gdzie zrzucają zasłony i zarzutki, a wdziewają śliczne trzewiczki srebrne. Wszystkie kwiaty rosnące wzdłuż Aleji dzidziusiów wychylają główki, stają na palcach i przyglądają się z zachwytem orszakowi zaproszonych; nie posiadają się też z radości jeżeli mogą której z dam pożyczyć szpilki do spięcia oberwanej falbanki. Na najwyższem wzniesieniu siedzi królowa elfów, a za jej tronem stoi Wielki kanclerz, ze „stałością męską“ w ręku, z której zdmuchuje godzinę, ile razy jej Wysokość zapytać o nią raczy.

Obrusy zmieniają się zależnie od pory roku. W maju utkane są z kwiatów kasztana. Tkaninę tą robi się w następujący sposób: Dwadzieścia elfów strząsa najpierw kwiaty z drzewa, a gdy ziemia pokryje się niemi, jak śniegiem, zbiegają się pokojówki i dopóty kręcą się w kółko z rozpostartemi sukienkami, póki płatki kwietne nie rozłożą się na ziemi w kształcie obrusa.

Elfy mają trzy rodzaje wina, który piją w trzech





rodzajach kieliszków. Wino berberysowe, wino pierwiosnkowe i borówkowe. Królowa częstuje wszystkich winem, ale że flaszki są tak ciężkie, że nikt ich udźwignąć nie może, więc całe to częstowanie jest tylko „na niby“. Uczta zaczyna się zawsze od chleba z masłem. Dla wszystkich gości wystarcza porcya wielkości pięciu kopiejek. Na deser podaje służba ciastka nie większe od okruszków. Z początku wszystkie elfy siedzące dokoła grzyba, zachowują się bardzo grzecznie, ale jak się tylko rozbawią, zaraz pakują palce w masło, (które się wyrabia z korzonków starych drzew), a najniegrzeczniejsze włażą nawet na stół i językiem zlizują z półmisków cukier i inne słodycze. Skoro królowa to spostrzeże, daje znak służbie, żeby wszystko uprzątnęła i zaraz rozpoczynają się tańce. Królowa postępuje przodem, a za nią idzie Wielki kanclerz, niosąc w ręku dwie czarki napełnione sokiem gwoździkowym i lewkoniowym. Sok gwoździkowy służy do cucenia omdlałych gości, a sokiem lewkoniowym smarują sińce i guzy, które sobie często nabijają w czasie tańca. Orkiestrą elfów jest Piotruś Pan. Piotruś zasiada na grzybie w pośrodku czarodziejskiego kręgu i przygrywa elfom do tańca coraz szybciej, coraz skoczniej, coraz weselej, a elfy wirują jak szalone, póki nie pomdleją

ze zmęczenia. Najpiękniejsze bale odbywają się zawsze ze współudziałem Piotrusia. Na kartach zaproszeń, wysyłanych do najwyższych dygnitarzy, wydrukowany jest nawet jego monogram P. P. Na ogół elfy mają bardzo wdzięczne serca, więc też i królowa elfów, chcąc wynagrodzić Piotrusia za prześliczną muzykę, którą uświetnił bal wydany w drugą rocznicę jej urodzin (elfy obchodzą urodziny każdego miesiąca) wypełniła najgorętsze życzenie Piotrusia.

Było to tak: Królowa elfów kazała Piotrusiowi uklęknąć i powiedziała mu, że w nagrodę za jego muzykę wypełni jego najserdeczniejsze życzenie. Wszystkie elfy zbiegły się dokoła, żeby usłyszeć życzenie Piotrusia. Ale Piotruś namyślał się długo, bo nie bardzo wiedział, czego ma sobie życzyć.

Nareszcie rzekł: — „Czy mogłabyś tak zrobić, żebym wrócił do mojej mamy?“ Królowej nie podobało się to pytanie, bo gdyby Piotruś wrócił do matki, nie miałby kto elfom przygrywać do tańca. Więc pokręciła lekceważąco noskiem i rzekła: — A, cóż to za życzenie! Możesz prosić przecież o coś daleko większego.

— Więc to jest takie małe życzenie? — pytał Piotruś.


Arthur Rackham
06

— O, takie malutkie — odparła królowa, przysuwając wskazujące palce bliziutko do siebie.

— A jakie będzie duże życzenie? — pytał dalej Piotruś.

— Przynajmniej takie — odparła królowa i odmierzyła dość duży kawałek na swojej sukni.

Piotruś dumał przez chwilę: — Ha, w takim razie poproszę cię o wypełnienie dwóch małych życzeń, zamiast jednego dużego.

Naturalnie królowa musiała się na to zgodzić, ale elfy bardzo się przestraszyły, bo Piotruś zażądał ni mniej ni więcej, tylko żeby mógł odwiedzić swoją matkę, ale z prawem powrotu do Leśnego Parku, w razie gdyby go w domu spotkała jakaś przykrość. A drugie życzenie zachował sobie na inny raz.

— Mogę ci udzielić mocy latania — odpowiedziała królowa po namyśle — ale drzwi swego domu otworzyć nie jestem w stanie.

— O, drzwi otwierać nie trzeba, bo okno przez które wyleciałem, jest zawsze otwarte. Matka moja nie zamyka go nigdy, bo nie traci nadziei, że kiedyś do niej powrócę — odpowiedział Piotruś.

— A ty skąd wiesz o tem? — pytały zdumione elfy, ale Piotruś nie umiał im na to odpowiedzieć.

— Wiem i już — odparł krótko.

Nie było więc rady, elfy musiały się zgodzić na życzenie Piotrusia. Udzieliły mu mocy latania, za pomocą łechtania go w łopatki. Im silniej go łaskotały, tem mocniej swędziło miejsce, w którem dawniej rosły skrzydełka i po krótkiej chwili Piotruś uniósł się w powietrze i szybował coraz wyżej i wyżej, het ponad wierzchołkami drzew i ponad szczytami dachów i kominów.

Podróż była tak cudna, że Piotruś zboczył nawet trochę z drogi wiodącej ku domowi, i latał długo ponad wieżami kościelnemi, nad pałacami i olbrzymią rzeką przerzynającą korytem swojem miasto. Wreszcie jednak skierował się ku domowi i odszukał otwarte okno sypialnego pokoju matki. Ale już w czasie tej podróży napowietrznej postanowił poprosić królowę elfów, żeby go zamieniła w ptaka.

Kiedy Piotruś wleciał przez otwarte okno sypialni, matka jego spała. Piotruś usiadł cichutko w nogach jej łóżka i uważnie jej się przypatrywał. Ramię matki podłożone pod głowę, tworzyło w poduszce wgłębienie, które wysłane puchem bujnych, jedwabistych włosów, podobne było do najcudniejszego gniazdka. Piotruś nie mógł oczu oderwać od jej ślicznej twarzy i delikatnych koronek, zdo-

biących jej bieliznę i pościel. Niezmiernie był dumny, że ma taką śliczną mamę.

— O matko! gdybyś wiedziała kto siedzi na twojem łóżku — szepnął po cichutku.

Delikatnie pogładził rączką maleńkie wzniesienie zarysowane na kołdrze przez jej stopy; z wyrazu twarzy matki poznał, że sprawiło jej to przyjemność. Wiedział, że wystarczyłoby szepnąć jedno najcichsze słówko, a przebudziłaby się natychmiast, bo matki budzą się zawsze na najlżejsze poruszenie swych dzieci. Z ust jej wydarłby się okrzyk radości, ramiona jej objęłyby go mocnym, gorącym uściskiem.

— Nie powiem, żebym się nie mógł obyć bez tego, ale dla niej, o, dla niej byłaby to wielka radość — dumał Piotruś. Kiedy wracał do matki, nie wątpił ani przez chwilę, że robi jej tem największą łaskę, jaką matce dziecko zrobić może. — Z pewnością niema większej przyjemności, jak mieć na wyłączną własność małego chłopczyka. Wiadomo, jak matki się tem cieszą i jakie są dumne z tego — rozmyślał.

Czemuż jednak Piotruś siedzi tak długo w milczeniu na brzegu łóżka? Czemu nie powie swojej matce, że powrócił do domu?

Wstyd mi trochę za Piotrusia, ale muszę wam powiedzieć, że Piotrusia ciągnęło w dwie zupełnie

przeciwne strony. Patrzył z miłością na matkę, ale zaraz potem zwracał oczy z tęsknotą ku otwartemu oknu. Hm, byłoby to bardzo miło być znowu synkiem swojej mamy, ale... I tu oblegały go wspomnienia wesołych chwil spędzonych w Leśnym parku. Brrr... jakby było niemiło wdziewać znowu majteczki i sukienki! Zeskoczył z łóżka i zaczął wyjmować z komody różne części ubranek, które nosił dawniej. Leżały ułożone najporządniej w szufladzie, ale Piotruś ani rusz przypomnieć sobie nie mógł, jak się je nawdziewa, czy rękawki kaftaniczka wciągają się na rączki, czy nóżki? Właśnie z trudem usiłował przecisnąć nóżkę przez rękawek koszulki, kiedy nagle wskutek skrzypnięcia szuflady matka przebudziła się i szepnęła: „Piotrusiu!“, głosem tak słodkim i rzewnym, jakby to było najmilsze słowo na świecie. Piotruś siedział bez ruchu i patrzył na matkę z zapartym oddechem. Nie mógł wyjść ze zdumienia, że matka już wie, że synek jej powrócił do domu. Ale gdyby była raz jeszcze powtórzyła „Piotrusiu!“ byłby zerwał się z podłogi i rzucił się jej w ramiona z okrzykiem „mamusiu!“. Ale matka westchnęła tylko cichutko, a kiedy Piotruś popatrzył na nią, spała jak przedtem, tylko po twarzy jej spływały dwie srebrzyste łzy.

Piotrusiowi zrobiło się bardzo przykro i oto co zrobił: Usiadł na brzegu łóżka i zagrał na fujarce najpiękniejszą kołysankę. Kołysankę tę ułożył sam dla swojej matki na melodyę tego słodkiego szeptu „Piotrusiu“, jaki przed chwilą z ust matki posłyszał. I grał dopóty, póki na twarzy matki nie dojrzał wyrazu cichej, głębokiej szczęśliwości.

Melodya którą wygrywał, podobała mu się tak bardzo, że już, już chciał przebudzić matkę, żeby usłyszeć jej okrzyk pełen zachwytu: „Oh, Piotrusiu! jakżeż ty grasz cudownie!“ — ale, że matka wyglądała w tej chwili na zupełnie zadowoloną, Piotruś znowu zwrócił oczy ku otwartemu oknu. Nie żeby miał zamiar odlecieć i nie powrócić więcej do domu. Przeciwnie, postanowił sobie solennie, że będzie nadal synkiem swojej mamy, tylko nie było się z czem tak spieszyć... Miał przecież prawo do drugiego życzenia. Wprawdzie nie miał już ochoty zostać ptakiem, ale wyrzec się zupełnie drugiego życzenia byłoby prawdziwem marnotrawstwem. A na to, by zostało wypełnione, trzeba było wrócić do elfów. Gdyby zaś je odkładał w nieskończoność, mogłyby się elfy zniecierpliwić i odmówić spełnienia jego życzenia. Wydawało mu się także, że byłoby to bardzo nieładnie, gdyby pozostał w domu, nie poże-

gnawszy się wpierw ze swoim przyjacielem Salomą. „I takbym chciał bodaj raz jeszcze pożeglować na Wężowem jeziorze w mojej kochanej łódeczce — szepnął śpiącej matce do ucha. — I takbym jeszcze chciał opowiedzieć moje przygody ptaszkom z „Ptasiej wyspy“ — dodał pieszczotliwie. — Ale przyrzekam ci mamo, że wrócę do ciebie napewno — zakończył uroczyście i wyleciał przez okno. Dwa razy jeszcze wracał z gzymsu okiennego, chcąc ucałować matkę na pożegnanie. Ale zaraz przyszło mu na myśl, że radość może przebudzić jego mamę, więc wygrał jej tylko kilka pocałunków na fujarce i poleciał do Parku leśnego.

Wiele nocy i wiele miesięcy upłynęło, zanim Piotruś się zdecydował poprosić elfy o spełnienie drugiego życzenia. Sam nie wiem dlaczego tak długo z tem zwlekał. Może dlatego, że musiał oddać mnóstwo pożegnalnych wizyt i nietylko wszystkim swoim przyjaciołom, ale i wszystkim ulubionym trawnikom i placom. Potem odbył dużo przedostatnich, ostatnich i najostatniejszych podróży w swoim stateczku. A wreszcie nie spieszyło mu się tak bardzo znowu, bo matki gotowe są zawsze czekać na swoje dzieci. Kiedy się raz z tem wyrwał wobec Salomy, kruk rozgniewał się bardzo, bo takie zdanie mogło za-

chęcić samiczki do zaniedbywania gniazda w czasie wylęgu piskląt. Salomo miał cały szereg świetnych przysłowi, którymi zachęcał ptaki do sumiennego wypełniania obowiązków. — „Masz znieść jajo, znieś je dzisiaj, masz zjeść ziarno, zjedz je jutro“ albo: „chwytaj chwilę za czub, bo ci umknie“. Gdyby ptaki usłyszały teorye Piotrusia o matkach, z pewnością rozmiłowałyby się w niedbalstwie.

Wierzcie mi jednak, że pomimo odwlekania chwili odlotu, Piotruś trwał w zamiarze powrotu do matki i do domu. Że zaś jego zamiar był szczery, świadczy zachowanie się jego względem elfów. Elfy bardzo pragnęły, żeby Piotruś pozostał w Parku leśnym i przygrywał na ich ucztach i balach, to też wszelkimi sposobami starały się go zmusić do zrobienia jakiejś uwagi, którąby go pozbawiła drugiego życzenia. Niechby powiedział tylko: — „Ach, jakbym chciał, żeby trawa nie była mokra“, a jużby było po życzeniu. Czasem nawet rozmyślnie myliły takt tańcząc, w nadziei, że zniecierpliwiony Piotruś zawoła: — „Chciałbym, żebyście się już raz nauczyły tańczyć do taktu!“ — a wtedy elfy powiedziałyby mu, że już stracił drugie swoje życzenie. Ale Piotruś odrazu poznał się na ich sztuczkach i choć nieraz słowo „chciałbym...“ cisnęło mu się na usta,

zawsze zamilkł w porę, tak że elfy nic wydobyć zeń nie mogły i kiedy nareszcie oświadczył: „chciałbym na zawsze wrócić do mojej matki!“ elfy musiały połechtać go w plecki i z żalem ujrzały, że uniósł się w powietrze.

Piotruś leciał spiesznie, bo śniło mu się ubiegłej nocy, że matka jego płakała. Piotruś dobrze wiedział, co było przyczyną tych łez i wiedział, że jeden pocałunek jej wspaniałego syna wywoła natychmiast uśmiech na jej drogich ustach. Och, Piotruś był tego zupełnie pewny i spieszno mu było wtulić się w ramiona dobrej matki, więc też leciał najkrótszą drogą wprost ku oknu, które zawsze stało dla niego otworem...

Ale dziś okno było zamknięte; zimna, żelazna krata broniła wstępu do domu. A gdy Piotruś przycisnął nosek do szyby, ujrzał matkę śpiącą jak dawniej na łóżku, z innem dzieciątkiem w ramionach.

Napróżno wołał za oknem: Matko! mamusiu! Napróżno ranił maleńkie piąstki o zimną, żelazną kratę. Matka go nie słyszała. Boleśnie łkając powrócił Piotruś do Leśnego Parku i nigdy więcej nie ujrzał drogiej twarzy matki. Jakże złudną była wiara Piotrusia, że nic go nigdy zastąpić nie zdoła... Ach, Piotrusiu, gdyby ci wszyscy którzy wielkie błędy

popełnili w życiu, mogli rozpocząć je na nowo! Ale Salomo miał słuszność: „trzeba chwilę chwycić za czub, bo umknie“. Chwila taka zdarza się tylko raz jeden w życiu. Kto jej za czub nie chwyci, napróżno powracać będzie do okna. Przybędzie „po dzwonku“ i żelazne kraty bronić mu będą przystępu do szczęścia przez całe, długie życie.





ROZDZIAŁ V.

MAŁY DOMEK.

ZNACIE zapewne wszyscy Mały domek w parku. Jestto jedyny domek na świecie, który elfy zbudowały dla ludzi. Mało dzieci jednak widziało go naprawdę, może dwoje, albo najwyżej troje, a te musiały w nim przenocować, bo inaczej nie mogłyby go zobaczyć. Bo kiedy dziecko się do snu układa,



domku niema jeszcze wcale, a kiedy się obudzi zrana, widzi go jak na dłoni.

Tylko coś niecoś można zeń zobaczyć, a mianowicie światło w jego oknach, ale i to dopiero „po dzwonku". Anielcia Clare (ta co tak chętnie daje sobie plombować zęby, bo za to biorą ją do cukierni) widuje czasem po kilkaset świateł naraz. Zapewne w tej chwili elfy budują swój domek, bo teraz budują go każdego wieczora, ale codzień w innej części parku. Anielci się wydawało, że jedno światełko było większe od innych, ale napewno tego powiedzieć nie mogła, bo tyle innych świateł migotało i przesłaniało go, że trudno było rozpoznać, czy to jest to samo. Jeżeli jednak między światełkami, migocącemi w Parku leśnym, jest jedno największe, to będzie to z pewnością latarka Piotrusia Pana. Bardzo dużo dzieci widziało te światełka w parku, ale pierwszem dzieckiem, dla którego elfy zbudowały swój domek, była Tonia Mamering.

Tonia była zawsze niezwykłą dziewczynką, a już wieczorem stawała się wprost nadzwyczajną. Miała już cztery lata i w dzień zachowywała się jak inne dziewczynki w jej wieku. Cieszyła się bardzo, jeżeli jej sześcioletni braciszek Jaś pozwolił się jej bawić z sobą, naśladowała go we wszystkiem i nie gnie-

wała się wcale, jeżeli w zabawie poturbował ją nawet troszkę. Wogóle z Jasia była bardzo dumna, uważała go bowiem za ideał rozumu i dzielności. Potrafiła także pokazać, że ma nowe buciczki na nóżkach, w chwili gdy powinna była złapać rzuconą jej piłkę. Jednem słowem w dzień Tonia podobna była do wszystkich małych dziewczynek.

Ale pod wieczór, kiedy zmrok zaczynał zapadać, dzieci zmieniały się najzupełniej. Tęgi, bajeczny Jaś, który w dzień tak przewodził nad młodszą siostrzyczką, raz po raz oglądał się na nią niespokojnie, bo im ciemniej robiło się w pokoju, tem mocniej błyszczały oczy małej Toni. Wzrok jej jaśniał spokojnym, tajemniczym blaskiem, a oczy Jasia pełne były lęku i grozy. W takiej chwili Jaś oddawał Toni najulubieńsze swoje zabawki (nazajutrz odbierał je z powrotem) a Tonia przyjmowała je z niedbałym uśmieszkiem. Dzieci wiedziały, że za chwilę każą im iść do łóżka i to takiem przerażeniem napełniało Jasia, a tak tajemniczą i pewną siebie czyniło Tonię. Bo ledwie niańka ułożyła dzieci do snu, Tonia robiła się wprost straszliwa. Zarówno prośby Jasia jak i groźby matki i piastunki Aji przyjmowała tym samym niepokojącym uśmieszkiem. A ledwie starsi wyszli i zostawili dzieci w pokoju, którego mrok

rozpraszała jedynie lampka nocna, Tonia siadała na łóżeczku i zaczynała szeptać: — „Pst... co to się rusza?“ Jaś ją uspokajał: — „Toniu, Tonieczko, cicho, naprawdę nic się nie rusza...“ i spiesznie wsuwał głowę pod kołdrę. — „Idzie! idzie! idzie! na ciebie! — krzyczała Tonia — już jest koło twego łóżka, już kopytkami grzebie w podłogę! Teraz cię weźmie na rogi! Jasiu, uciekaj, bo cię weźmie na rogi! — i głos jej był tak przejmujący, że Jaś przejęty śmiertelnym strachem, wyskakiwał z łóżka i boso, w koszulce nocnej pędził przez pokój i korytarz, na schody i na dół. Ale kiedy po chwili mama albo piastunka wracały z Jasiem na górę, żeby ukarać Tonię, Tonia już spała w najlepsze. I wcale nie udawała, że śpi, ale spała naprawdę i we śnie wyglądała jak mały aniołeczek, a to było najgorsze ze wszystkiego.

Do parku przychodziły dzieci codziennie. Prym we wszystkiem trzymał naturalnie Jaś. Sądząc z tego, co mówił o sobie, był chłopcem niepospolicie odważnym, co niezmierną dumą napełniało małą Tonię. Byłaby bardzo pragnęła pokazać każdemu „na piśmie“, że jest rodzoną siostrą bohaterskiego Jasia. A już najwięcej imponowało jej, kiedy Jaś się przechwalał, że pozostanie w parku na noc, już po zamknięciu wszystkich bram przez stróża nocnego.

— Ależ Jasiu — tłumaczyła Tonia, przejęta czcią głęboką dla jego odwagi — elfy strasznieby za to były złe na ciebie.

— Och zapewne! — odparł niedbale Jaś.

— Może... może Piotruś Pan weźmie cię na swój stateczek i przepłyniecie razem Wężowe Jezioro? — mówiła dalej Tonia, drżąc ze wzruszenia.

— O z wszelką pewnością! — odpowiedział Jaś tym samym tonem. Cóż dziwnego, że Tonia dumną była z takiego brata?

Dzieci nie powinny były mówić o tem tak głośno, bo pewien elf, zbierający szkieleciki zeschłych liści, z których elfy tkają swoje sukienki letnie, podsłuchał ich rozmowę i od tej chwili Jaś miał we wszystkiem „pecha“. Jeżeli usiadł na którym ze słupków ogrodowych, słupek wywracał się razem z nim, bo elfy umyślnie ochwiewały go pod ziemią, żeby Jaś rozbił sobie głowę, albo chwytały go za sznurowadła trzewików i Jaś padał na ziemię i nabijał sobie potężnego guza. Nawet kaczki wciągnęły do spisku, i namówiły je, żeby stateczki puszczane przez Jasia na Okrągłym stawie, wpychały pod wodę. Najwięcej przykrych wypadków w Parku powodują rozgniewane elfy, to też trzeba bardzo uważać co się o nich mówi.

Tonia miała taką naturę, że mogła dzień i noc

nie ruszyć się z miejsca, jeżeli wiedziała, że ktoś ma spełnić jakiś czyn bohaterski; ale Jasiowi nie spieszyło się tak bardzo i kiedy go zapytała, którego dnia „po dzwonku“ pozostanie w Parku, Jaś odparł krótko: — „Ach, któregokolwiek!“ Prawdę mówiąc, Jaś żadnego dnia nie wybrał i dlatego ile razy pytała go Tonia: — „Czy to dzisiaj może?“ mógł z całą pewnością odpowiedzieć, że „nie dzisiaj“. Tonia zaś przypuszczała, że Jaś czeka na jakiś dzień najlepszy ze wszystkich.

Sporo dni upłynęło od tej rozmowy; cały park pokrył się śniegiem, a powierzchnia Okrągłego stawu zamieniła się w taflę lodu. Lód nie był jeszcze dość mocny, żeby się ślizgać na nim, ale codziennie można go już było łamać, przez rzucanie nań wielkich kamieni. Mnóstwo jasnowłosych chłopczyków i dziewczynek oddawało się tej zabawie z upodobaniem.

Kiedy Jaś z Tonią weszli do Parku, chcieli natychmiast skręcić na ścieżkę, wiodącą do Okrągłego stawu. Ale ich czarna piastunka Aja kazała im najpierw odbyć porządny spacer dla rozgrzania się i popatrzyła na tablicę u wejścia, na której była naznaczona godzina zamknięcia parku. Park miał być zamknięty o pół do 6-tej. Poczciwa czarna Aja tak się zawsze śmiała serdecznie, że tyle białych dzieci

jest na świecie, ale tego wieczoru odechciało jej się śmiać na długo.

Dzieci przechadzały się więc z Ają wzdłuż Alei dzidziusiów, gdy nagle wybiła godzina 5, a zaraz potem rozległ się sygnał zamknięcia parku. Aja była zdumiona, bo ani jej przez myśl nie przeszło, że elfy przemieniły tablicę, żeby wcześniej rozpocząć bal. Za to Jaś i Tonia poznali się na podstępie elfów odrazu. Aja pozwoliła dzieciom pobiedz tam i z powrotem do Wyścigowej góry, bo nie przeczuwała nawet, jakiem wzruszeniem biją serduszka jej wychowanków. Jaś czuł dobrze, że nigdy nie zdarzy mu się druga taka sposobność wzięcia udziału w balu elfów. Tonia rozumiała to również i oczy jej pytały natarczywie: „Czy dziś zostaniesz Jasiu w parku?“ A Jaś chwytał ustami powietrze i kiwał głową potakująco. Wtedy Tonia ujęła go za rękę. Ręka Jasia była zimna, ale rączka Toni gorąca. Tonia pieszczotliwie przytuliła się do brata i owinęła szyję jego, własnym szalikiem. — Boję się, żeby ci nie było zimno — szepnęła z twarzyczką promieniejącą radością i wzruszeniem. Ale Jaś zasępiony milczał.

Kiedy już dobiegli do Wyścigowej góry, Jaś rzekł po cichu: „Boję się, że Aja mnie stąd widzi i nie będę mógł zostać tu na noc“.


Arthur Rackham. 06

Tonia spojrzała na brata z podziwem. Dzielny Jaś bał się tylko Aji, a nie myślał nawet o tych strasznych niebezpieczeństwach, które go czekały za chwilę. Zawołała więc głośno: — „Jasiu, biegnijmy, kto będzie prędzej przy bramie?" a cichutko dodała: — „Schowaj się za studnię". I dzieci puściły się pędem przez Dużą drogę.

Jaś zawsze wyprzedzał Tonię. Ale nigdy jeszcze nie biegł tak szybko, jak dzisiaj, pewnie dlatego, żeby mieć więcej czasu na schowanie się w parku. Brawo! brawo! — przyklaskiwały jego dzielności błyszczące oczy Toni. Ale nagle przeszył Tonię ostry, dojmujący lęk. Bohater jej zamiast się ukryć w parku, wyleciał jak strzała za bramę, — na ulicę. Na ten widok Tonia stanęła jak przygwożdżona do ziemi; w sercu uczuła chłód i taką pustkę, jakby nagle straciła wszystko, co miała najdroższego na świecie. I taka pogarda dla Jasia wezbrała w niej, że nawet zapłakać nie była w stanie. A potem zakipiało w niej tak straszne oburzenie, że bez tchu pomknęła ku studni i ukryła się tam zamiast Jasia.

Aja widziała najpierw Jasia, a później Tonię, biegnących ku wyjściu i pewna była, że oboje są już na drodze do domu. Wyszła więc spokojnie za bramę, ani przeczuwając, że Tonia pozostała w parku.

Wczesny zimowy zmrok zaczął osnuwać park cały i tłumy ludzi cisnęły się ku wyjściu. Wkrótce wyszli wszyscy, nawet i te dzieci, które zawsze zostają w tyle, a potem muszą biedz ile sił starczy, żeby dogonić rodziców, czy piastunkę. Ale Tonia nie widziała nikogo. Z pod mocno zaciśniętych powiek płynęły jedna za drugą gorzkie łzy rozczarowania i zawodu. Kiedy nareszcie otworzyła oczy, uczuła, że jakiś chłód dojmujący spoczął na jej rączkach i nóżkach i ciężarem bezmiernym przytłoczył serce. Była to śmiertelna cisza, która zapanowała teraz w Parku leśnym. A potem rozległo się w oddali donośne „Bum!“ i z drugiego końca parku „Bum!“ i jeszcze jedno, odleglejsze „Bum!“... Stróż zamknął ostatnią bramę.

Zaledwie przebrzmiał ten łoskot, Tonia usłyszała, że ktoś mówi: — „No, wreszcie będzie można rozprostować kości!“ Głos szedł z góry i brzmiał jak skrzypienie źle nasmarowanych drzwi. Tonia spojrzała do góry i zobaczyła, że stary wiąz przeciąga się i postękuje. Chciała już do niego zagadać, bo nigdy jej nie przychodziło na myśl, żeby wiąz umiał mówić, gdy tuż niedaleko zadźwięczał metaliczny głosik małej łopatki, wbitej w śnieg nieopodal studni. Łopatka mówiła do wiąza: — „Niezły mamy



mrozik, co?" — na co wiąz zaskrzypiał: — „Tak, ujdzie! ale waćpanna musiałaś tęgo zmarznąć, bo ciągle stoisz na jednej nodze". I rzekłszy to, począł dla rozgrzania bić się po bokach gałęźmi, jak to nieraz czynią dorożkarze. Tonia dziwiła się coraz więcej, bo wszystkie drzewa dokoła biły się także gałęźmi po bokach, — więc wysunąwszy się ze swej kryjówki, pobiegła ku rozłożystej palmie, żeby się schronić pod jej liśćmi. Palma wzruszyła ramionami na jej widok, ale nie broniła wstępu pod swój baldachim

Toni nie było zimno. Szare jej futerko i futrzana czapeczka okrywały ją tak szczelnie, że widać było zaledwie śliczną jej różową buźkę i złociste loki. Oprócz futerka takie mnóstwo ciepłych rzeczy zabezpieczało ją od zimna, że Tonia wyglądała, jak kłębuszek szarej bawełny.

Mnóstwo drzew zaczęło przechadzać się wzdłuż Aleji dzidziusiów, a gdy zaciekawiona Tonia nadbiegła ku nim, ujrzała krzewy magnolii i bzu przeskakujące ogrodzenie i spieszące ku ścieżce, gdzie reszta towarzystwa używała ruchu i przechadzki. Przeważnie drzewka i krzewy podpierały się kołkami, do których je przywiązał ogrodnik. Bez podskakiwał wesoło na ścieżce i opowiadał coś z wielkim ferworem dwom młodziutkim pigwom. I one wspierały się na

drewnianych kołkach. Tonia zrozumiała dopiero dzisiaj, że kołki służą krzewom i drzewkom za laski. Potem poszła dalej i nagle zobaczyła pierwszego elfa. Był to mały ulicznik, który zabawiał się zginaniem ku ziemi krzewin i drzewek i puszczaniem ich w górę, skutkiem czego, cały śnieg z nich opadał i przytłaczał rosnące pod niemi roślinki.

— Dasz ty im pokój, dzieciaku szkaradny! — zawołała rozgniewana Tonia. Tonia dobrze wiedziała, jak to niemiło, kiedy kto przez figle, nasypie za kołnierz śniegu z parasola.

Malec był już tak daleko, że upomnienia jej nie dosłyszał, ale na głos Toni, z rabaty zeszła stara chryzantema, mrucząc: — „Jędze, zmory czy upiory, — na mój rozkaz wyjdźcie z nory". — Tonia wysunęła się więc z kryjówki, a na jej widok wszystkie rośliny przystanęły zmieszane, bo żadna nie wiedziała, co począć z takim gościem?

— Wprawdzie to nas nie obchodzi, — rzekło wreszcie jakieś drzewko na cienkiej nóżce, poszeptawszy z kolegami, — ale sama wiesz najlepiej, że nie powinnaś znajdować się tu o tej porze. Zdaje mi się, że byłoby naszym obowiązkiem, wydać cię w ręce elfów. Jak ci się ta myśl podoba?

— Zupełnie mi się niepodoba! — odpowiedziała



Tonia tak stanowczym głosem, że rośliny zmieszały się jeszcze bardziej. Ktoś napomknął przezornie, że lepiejby było z Tonią nie zadzierać. — Ręczę wam, że nie prosiłabym was o to, gdybym nie miała słuszności — dodała jeszcze Tonia, a to oszołomiło do reszty rośliny. Jedne więc mruknęły tylko: — „Piękna pogoda, co?“, inne pokiwały głowami szepcząc: — „Tak to bywa w życiu“, bo i rośliny potrafią wyrażać się z ironią. Tonia tymczasem przyglądała im się uważnie, a widząc, że niektóre z nich nie mogą używać przechadzki, bo nie mają lasek do podpierania się, rzekła uprzejmie: — Słuchajcie, zanim wybiorę się na bal elfów, odbędę z każdym z was porządną przechadzkę. Wesprzyjcie się tylko na mnie mocno.

Rośliny zaklaskały w ręce z uciechy i Tonia rozpoczęła pierwszy spacer. Obejmowała z wielką ostrożnością wiotkie talie roślin i kwiatów, ustawiała jak należy ich nóżki, bo niektóre wykrzywiały je niemożliwie i każdą po kolei prowadziła po Aleji dzidziusiów. Była równie uprzejma dla krajowych, jak i cudzoziemskich roślin, choć nie rozumiała ani słowa z tego, co te ostatnie mówiły między sobą.

Kwiaty i rośliny zachowywały się naogół wcale grzecznie, parę tylko dąsało się, narzekając, że Tonia

z malwą, czy pelargonią przechadzała się dłużej, niż z niemi. Inne znowu szczypały ją, ale nie ze złości, tylko ze strachu, że się przewrócą, a Tonia była zbyt dobrze wychowana, żeby się obrażać z tak błahego powodu. Wkońcu jednak zmęczona już porządnie pożegnała kwiaty, bo spieszno jej było podążyć na bal elfów. Teraz nie bała się już ani trochę, pewnie dlatego, że zmrok ustąpił miejsca zupełnej ciemności, a wiemy już, że w nocy Tonia była zawsze bardzo dziwna.

Ale rośliny nie chciały jej puścić. — Nie wiesz, Toniu, co cię czeka, jeżeli cię elfy pochwycą. Zachłostają cię na śmierć, albo zmuszą do niańczenia swoich niemowląt. Obarczą cię tysiącem najcięższych robót, albo zamienią cię w coś tak nudnego jak ten stary, brodaty, zawsze jednakowo zielony dąb. — To rzekłszy, spojrzały z udanem współczuciem na stary, omszały dąb, któremu nigdy darować nie mogły, że on jeden z nich wszystkich, zachowuje zielone liście w zimie.

Dąb roześmiał się drwiąco na tę uwagę: — He, he, zazdrościcie mi kochasie mojej zielonej szaty, która mnie otula od stóp aż do głowy, podczas gdy wy biedaki świecicie nagimi członkami, na wietrze i mrozie.



Ale rośliny nie przestawały straszyć Toni, malując w najczarniejszych barwach los, który sobie zgotuje, jeżeli odważy się pójść na bal elfów.

Orzech turecki ostrzegał ją, żeby unikała spotkania z dworzanami królowej elfów. Elfy były w ostatnich czasach szczególniej źle usposobione, skutkiem nieuleczalnej choroby Złocienia. Królewicz Złocień przybył ze Wschodu i cierpi na ciężką chorobę sercową, której objawem jest niezdolność do zakochania się. Biedny królewicz wędrował z kraju do kraju, poznawał wszędzie tysiące najpiękniejszych dziewic, ale żadna nie zdołała rozgrzać jego serca. Kiedy przybył na dwór królowej w Leśnym parku, królowa była pewna, że jedna z jej córek uleczy królewicza — ale jego lekarz nadworny, obowiązany badać serce Jego królewiczowskiej Mości, po przedstawieniu mu każdej damy, nieustannie potrząsał głową, mrucząc: — „Zimne, zupełnie zimne". Królowa elfów czuła się tem tak dotkniętą, że najpierw skazała cały dwór na płacz dziewięciominutowy, a następnie poleciła nałożyć ośle czapki wszystkim bożkom miłości i zagroziła, że ich póty nie zdejmie, póki zamarznięte serce księcia nie odtaje najzupełniej.

— Ach, muszę zobaczyć te bożki, w tych ślicznych oślich czapeczkach! — zawołała Tonia i pę-

dem pobiegła ku pałacowi królowej elfów, licząc, że uda jej się wypatrzyć z którego kątka nieszczęsnych pokutników.

Bez trudu odnalazła drogę, wiodącą do placu zabawy elfów, bo elfy zaznaczają plac ten szerokiem kołem ze wstążki. Ścieżki wiodące do pałacu, wyścielają również wstążkami, bo dbają bardzo o to, żeby goście nie przemoczyli obuwia. Dziś wszystkie ścieżki wysłane były wstążkami czerwonemi — a kolor ten odbijał ślicznie na niepokalanej bieli śniegu.

Tonia biegła czas dłuższy, nie mogąc nigdzie wypatrzyć żadnego elfa, gdy raptem na jednej ze ścieżek ukazał się cały orszak. Elfy szły ku niej, tak jakby już opuściły pałac królewski. Tonia spiesznie przykucnęła na śniegu, a ramionka podniosła w górę, udając, że jest krzesłem ogrodowem. Orszak przesunął się tuż koło niej. Przodem jechało sześciu rycerzy na koniach, za nimi postępowała piękna dama, której długi tren niosło dwóch zgrabnych pazików. Na trenie tym spoczywało niby w kolebce, cudnej urody dziewczątko — w ten bowiem sposób, podróżują u elfów księżniczki krwi. Szatki księżniczki tkane były ze złota, ale najpiękniej ze wszystkiego wyglądała jej szyja błękitna, od której stokroć piękniej, niż od białej szyi, odbijał wspaniały naszyjnik


Arthur Rackham
1912

brylantowy. Tylko damy z najwyższej arystokracyi osiągają tę niezwykłą ozdobę, szczypiąc się do krwi i malując nią szyję. Nie możecie sobie wyobrazić jakie to piękne, chyba żeście widzieli kiedy popiersia dam, wystawione w oknach jubilerów.

Tonia zmiarkowała zaraz, że jakaś wielka przykrość spotkała elfy, bo cały orszak przytrzymywał palcami dziurki nosów, co zwykle robią elfy, kiedy im się na płacz zbiera. Zapewne lekarz stwierdził raz jeszcze, że serce królewicza Złocienia jest „zimne! bardzo zimne!“

Kiedy orszak elfów ją minął, Tonia pobiegła aż do miejsca, gdzie wstążka czerwona była przerzucona na podobieństwo mostu, ponad wyschniętą kałużą. W dołek ten wpadło jakieś młode dziewczątko i w żaden sposób wydrapać się na górę nie mogło. Kiedy Tonia nadbiegła jej z pomocą, głupiątko zlękło się jej bardzo, ale uspokojone serdecznymi słowami Toni, wskoczyło na jej rączkę i w okamgnieniu siedziało już na jej kolanach, szczebiocąc, że się nazywa Czarnobrewka, że jest śpiewaczką uliczną i że przybyła zdaleka, pragnąc przedstawić się królewiczowi Złocieniowi na dzisiejszym balu i popróbować, czy nie udałoby się jej uleczyć jego serca.

— Wiem dobrze, że nie jestem wcale piękno-

ścią — mówiła dalej, a Toni zrobiło się bardzo przykro, bo rzeczywiście mała śpiewaczka, jakkolwiek bardzo milutka, ale odziana w nędzne sukienki, wyglądała bardzo niepozornie, milczała więc nie wiedząc, co jej odpowiedzieć.

— Myślisz pewnie, że królewicz nie zechce nawet spojrzeć na mnie — szepnęła żałośnie Czarnobrewka.

— Ależ nie… myślałam właśnie, że twoja buzia jest domowego wyrobu… — żywo zaprzeczyła Tonia i zaczerwieniła się mocno, bojąc się, czy Czarnobrewka nie obrazi się za to określenie.

Na szczęście przypomniała sobie pewną historyę o swoim ojcu i wystawie gwiazdkowej. Ojciec Toni wybrał się pewnego razu na wystawę gwiazdkową, urządzoną na cel dobroczynny. Na wystawie tej można było za opłatą korony oglądać najpiękniejsze damy z całego Londynu. Kiedy powrócił do domu, uściskał mamę Toni i rzekł: — „Powiadam ci kochanko, że człowiek dopiero wtedy coś wie o piękności, kiedy nareszcie ujrzy taką miłą buzię domowego wyrobu“.

Tonia powtórzyła zdanie ojca Czarnobrewce, która nie posiadała się z radości, bo pewna była teraz, że królewicz się w niej zakocha. Szybko ze-

skoczyła z ręki Toni na ścieżkę, wysłaną czerwoną wstążką i pobiegła ku pałacowi, wołając jeszcze ku Toni, żeby nie ważyła się iść dalej, bo królowa elfów mogłaby jej zrobić coś złego.

Ale Tonia pragnęła tak bardzo zobaczyć zabawę elfów, że nie zważając na ostrzeżenia, puściła się za Czarnobrewką. Wkrótce dojrzała oślepiającą łunę świetlną, bijącą pod kopułą siedmiu kasztanów hiszpańskich. Tonia podsunęła się jak mogła najbliżej i przykucnąwszy za pieńkiem drzewa, patrzyła. Na wysokości dorosłego człowieka unosił się nad „czarodziejskim kręgiem elfów“ żywy baldachim świetlny, utworzony z ogromnej ilości robaczków świętojańskich. Tysiące elfów przyglądało się zabawie z zajęciem. Ale że stały w cieniu, drobne ich postacie wyglądały bardzo szaro i niepozornie, w porównaniu z cudnemi istotkami, uwijającemi się po „czarodziejskim kręgu“.

Tonia nie mogła wprost pojąć, że serce królewicza może pozostać nieczułem, wobec tylu cudnych twarzyczek. A jednak tak było niezawodnie. Łatwo to było poznać po przeciągniętych minach królowej i dam dworu, (choć udawały biedaczki, że sobie z tego nic nie robią). Twarz młodego królewicza tchnęła śmiertelnem znudzeniem. Gdy mu przedsta-

wiano najcudniejsze damy, królewicz niedbałym gestem dawał znak, że mogą się oddalić, a nieszczęsne odchodziły, zalewając się gorzkiemi łzami.

Tonia widziała również napuszonego doktora, ciągle badał serce królewicza i jak papuga wywrzaskiwał ciągle to samo słowo. Strasznie jej było żal maleńkich bożków miłości, bo ile razy doktor zawrzeszczał „zimne! ciągle zimne!" biedaki postawione za karę w ciemnym kącie i w oślich czapkach na głowie, przykucały z przestrachu, jakby każdy z tych wyrazów był uderzeniem bata.

Trochę była zdziwiona i rozczarowana, że Piotruś nie brał udziału w uroczystości. Muszę wam nawet powiedzieć z jakiego powodu przybył tego wieczora tak późno. Otóż stateczek jego uwiązł w krach lodowych na Wężowem jeziorze i Piotruś musiał przez wiele godzin przebijać sobie drogę poczciwym swoim rydelkiem.

Elfy nie wyglądały go dziś z takim upragnieniem jak zazwyczaj, bo czuły się zbyt nieszczęśliwe, żeby módz tańczyć. Elfy mają taką naturę, że jak im bardzo co dolega, zaraz zapominają wszystkich tańców, dopiero kiedy zmartwienie ich minie, przypominają je sobie nanowo. Danio nawet twierdzi, że elfy nie mówią nigdy o sobie, że są „szczęśliwe" tylko „tańcliwe".

O nie, tego wieczoru nie wyglądały wcale na „tańcliwe“, gdy wtem zabrzmiał serdeczny, głośny śmiech Czarnobrewki, która nadbiegła właśnie i koniecznie się upierała, żeby ją przedstawiono królewiczowi.

Tonia żywo podsunęła się bliżej, chcąc koniecznie zobaczyć, jak się powiedzie jej małej przyjaciółeczce, choć prawdę mówiąc, żadnej nie miała nadziei, żeby królewicz zwrócił na nią uwagę. Elfy również nie spodziewały się niczego po małej śpiewaczce, ale Czarnobrewka tem więcej miała wiary w siebie. Powiedziono ją przed oblicze Jego królewiczowskiej mości i doktor niedbale dotknąwszy palcem serca królewicza, (z największą skromnością osłoniętego klapą dyamentowego kaftana) miał już zawołać: „zimne! ciąg...“ gdy nagle urwał w pół słowa.

— Co to jest? — krzyknął i wstrząsnął sercem królewicza jak zegarkiem, a potem przyłożył do niego ucho.

— Na miły Bóg! — wrzasnął znowu, a niepokój całego dworu doszedł do tego stopnia, że kilkanaście osób zemdlało.

Wszyscy z zapartym oddechem patrzyli na królewicza, który znowu spoglądał na doktora z taką miną, jakby chciał zemknąć za dziesiątą górę.

— Bogu najwyższemu dzięki! — wrzasnął znowu doktor i syknąwszy, włożył palec do ust, bo serce królewicza rozgrzane do czerwoności sparzyło go porządnie.

Napięcie tłumu wzrosło do ostatecznych granic, kiedy doktor złożył głęboki ukłon królewiczowi i rzekł podniesionym głosem:

— Najjaśniejszy panie — mam zaszczyt zawiadomić Jego królewiczowską mość, że serce Jego królewiczowskiej mości płonie ogniem miłości!

Nie, niepodobna opisać wrażenia jakie zrobiła na wszystkich ta wiadomość. Czarnobrewka wyciągnęła rączki, a królewicz bez namysłu rzucił się w jej ramiona. Królowa padła w objęcia kanclerza koronnego, a każda z dam czemprędzej uwiesiła się na szyi jednego z senatorów lub ministrów, bo dobry ton wymaga, by dwór naśladował we wszystkiem panujących. W ten sposób odbyło się odrazu wzwyż 50 ślubów, bo jeśli panna rzuci się w ramiona mężczyzny, to u elfów znaczy tyle, co gdyby z nim ślub wzięła.

Ach, jakże się wszyscy czuli szczęśliwi, jakże się kochali i całowali! Trąby weselne zagrzmiały, księżyc wysunął się z chmur, a tysiące par elfów chwyciło się jego promieni i w szalonej radości wal-

cowało dokoła „czarodziejskiego kręgu". Ale najśmieszniejszym ze wszystkiego był widok maleńkich bożków miłości, którzy pozrzucali szkaradne ośle czapki i wyrzucali je jak piłki w powietrze. Tonia nie była w stanie pozostać w ukryciu. Wzruszona radością swojej przyjaciółki, podbiegła ku niej wołając: „O Czarnobrewko! jakże się cieszę, że królewicz się w tobie zakochał!"

I nagle stało się coś dziwnego. Muzyka ucięła w pół taktu, wszystkie światła pogasły i zrobiła się taka cisza, że można było usłyszeć brzęczenie muchy. Tonia zrozumiała po niewczasie, na jakie naraziła się niebezpieczeństwo. Przypomniała sobie wszystko co jej opowiadano o okrucieństwach elfów i o torturach, jakie zadają dzieciom, jeśli które z nich odważy się pozostać w parku już „po dzwonku". Z ciemności dochodził ją teraz groźny pomruk rozwścieczonego tłumu i szczęk mieczów, ustawionych do ataku. Tonia krzyknęła przeraźliwie i zaczęła uciekać w głąb parku.

Biegła bez tchu, raz po raz oglądając się poza siebie. Parę razy potknęła się, upadła, ale zrywała się czemprędzej i biegła znowu dalej i coraz dalej...

Była taka przerażona, że zupełnie nie wiedziała, co się z nią dzieje. Czuła tylko, że musi uciekać

i uciekać i wydawało jej się, że biegnie jeszcze, pomimo że już od dobrej chwili bez sił osunęła się na ziemię i zapadła w głęboki sen. Zimne płatki śnieżne opadały na jej buzię i rączki, a Toni się zdawało, że to mamusia słodkimi pocałunkami usypia swoją córeczkę. A gdy śnieg grubą warstwą przykrył ją po szyję, Tonia myślała, że to jej kołderka i gdyby nie to, że jej się ruszyć nie chciało, byłaby pewnie spróbowała naciągnąć ją na główkę, jak to zwykle czynił Jaś. A potem — gdy przez sen usłyszała szmer przyciszonych głosów, marzyło jej się, że mama przyprowadziła ojca do dziecinnego pokoju, żeby mu pokazać uśpioną w łóżeczku pieszczotkę. Ale naprawdę to elfy, a nie ojciec i mama, szeptały i chodziły dokoła Toni.

Na szczęście, elfom odeszła już ochota mścić się na biednem dziecku za przerwaną zabawę. W pierwszej chwili chciały biedz za nią i darły się na całe gardło: „Śmierć jej! śmierć“, ale zaledwie Tonia znikła im z oczu, zaczęły się sprzeczać, kto ma maszerować na przedzie. W czasie ich kłótni królewiczowa Czarnobrewka rzuciła się do nóg królowej, błagając o darowanie życia Toni.

Każda panna młoda ma prawo do wypowiedzenia jednego życzenia, ale królowa odmówiła stanow-

czo prośbie Czarnobrewki: — „Wszystko spełnię czego zapragniesz, ale tego nie żądaj, bo to jest niemożliwe“, a wszystkie elfy zawtórowały jednogłośnie: „to jest niemożliwe!“

Wtedy Czarnobrewka opowiedziała im, jak dobrą była dla niej Tonia. Gdyby nie jej pomoc, nigdy Czarnobrewka nie zdążyłaby przybyć na bal i nie uleczyłaby serca królewicza. Ledwie to elfy usłyszały, poczęły wznosić na cześć Toni radosne wiwaty, poczem utworzyły pochód i poszły podziękować jej za radość, jaką im sprawiła. Paziowie z pochodniami przyświecali orszakowi po obu stronach drogi. Łatwo było odszukać Tonię po głębokich śladach, wyciśniętych na śniegu przez jej nóżki.

Kiedy przybyły pod figowe drzewo, Tonia spała tak mocno, że elfy w żaden sposób dobudzić się jej nie mogły. Elfy jednak nie dały za wygraną. Królewicz wdrapał się na Tonię i wyrecytował bardzo długą, dziękczynną przemowę, z której Tonia nie usłyszała naturalnie ani jednego słowa. Potem zaczęły odgrzebywać śnieg, który grubą warstwą ją okrywał, ale w parę minut później taka sama warstwa przykryła ją znowu. Na to elfy zafrasowały się bardzo, bo przyszło im na myśl, że Tonia może zamarznąć.

— Należałoby ją okryć czemś, co się nie boi zimna, — orzekli lekarze. Tem czemś miała być tafla z lodu. Ale myśl ta nie podobała się królowej, bo jak mówiła, lód może się stopić, więc pomysł uznano za niedorzeczny.

Poczciwe elfy wytężyły wszystkie siły, żeby przenieść Tonię na inne miejsce. Ale pomimo, że było ich takie mrowie, Tonia okazała się i tak za ciężką dla nich. Już elficzki poczęły popłakiwać i obcierać noski maleńkiemi chusteczkami, gdy nagle w główkach bożków miłości, zaświtała bajeczna myśl. „Wybudujmy nad nią domek!“ wykrzyknęły i wszyscy natychmiast zabrali się do roboty. Najlepsi budowniczowie biegali dokoła Toni, żeby wziąć dokładną miarę, poczem 75 murarzy przywlokło kamień węgielny, który poświęciła królowa. Dokoła placu ustawiono straże i kazano im pilnować, by nikt nie śmiał przerwać zaczętej pracy. W mig wzniesiono rusztowanie i cały plac rozbrzmiał łoskotem młotków i siekier. Nie minął kwadrans, a już jedni robotnicy kryli domek czerwoną dachówką, inni wprawiali szyby w ramy okien.

Domek był prześliczny; w sam raz dość duży, by pomieścić uśpioną w nim Tonię. Trochę kłopotu sprawiło elfom jedno ramię Toni, odrzucone na bok.

Ale po namyśle wybudowały nad niem oszkloną werandę i wszystko było w porządku. Okna domku były nie większe od obrazków w waszej książce, a drzwi tak wązkie, że lalka zaledwie przejść-by przez nie mogła. Ale Tonia mogła dach podnieść do góry, a wtedy z wyjściem nie było już kłopotu. Elfy podług zwyczaju tańczyły i klaskały w ręce z radości, podziwiając swój własny dowcip i zręczność. Poprostu szalały z uciechy na myśl, że własnemi rękami zbudowały taki prześliczny domek, który wcale z miejsca ruszyć się nie dawał i coraz to ozdabiały go jakimś dodatkiem.

I tak, dwoje elfów przyciągnęło drabinę i przyczepiło do dachu — komin.

— Niestety już skończony! — westchnął ktoś na dole.

Ale gdzietam! znów ktoś poskoczył po drabinie w górę i ponad kominem umocował — kłąb dymu.

— Teraz już nic dodać się nie da — zawołał dumnie z góry.

— Poczekaj! poczekaj! — krzyknął na to robaczek świętojański. — W domku niema światła i gdy dzieciątko ludzkie się zbudzi, może się zlęknąć ciemności. Wlecę do domku i zrobię się jej lampką nocną.

Myślicie, że teraz domek był naprawdę skończony?

Otóż nie.

— Gwałtu! tośćem zapomniał o klamkach! — zawołał ślusarz i czemprędzej opatrzył wszystkie drzwi mosiężnemi gałkami.

Potem handlarz żelaza przybił koło progu żelazną wycieraczkę bucików, a pewna starsza dama przywlekła porządną rogóżkę. Dwóch stolarzy przytoczyło beczkę i umieściło ją pod rynną, a malarze pomalowali ją na zielono.

Wszystko gotowe!... Ale jeszcze nadbiega ogrodnik z całym tłumem ogrodniczków, uzbrojonych w rydelki i kopaczki i raz dwa od prawej strony werandy zakładają śliczny ogród kwiatowy, a od lewej ogród warzywny. Tuż pod ścianą posadzili kilka krzewów róż wysokopiennych i klemabisu i w mniej niż pięć minut, cudne, pachnące gałęzie całe pokryte kwiatami, poczęły piąć się po ścianach małego domku.

Cudnie, bo cudnie wyglądało teraz mieszkanko Toni. Ale nawet elfy nic już więcej wymyśleć nie mogły i poczęły się rozchodzić, spiesząc na przerwany bal. Raz po raz oglądały się poza siebie i z wielkiego zachwytu nad domkiem, całowały



się wzajemnie po rękach. Czarnobrewka odeszła ostatnia, bo dłuższą chwilę zabawiła przy kominie, przez który wsunęła dla Toni najcudniejszy sen.

I tak stał domek przez noc całą i chronił małą Tonię od zimna i wiatru. Tonia nie wiedziała o niczem, póki nie prześniła całego snu, podarowanego jej przez Czarnobrewkę. Kiedy nareszcie otworzyła oczy, świtało już na dworze. Tonia czuła się zupełnie wypoczętą, przetarła oczy i zawołała Jasia, bo pewna była, że leży na swojem łóżeczku, w dziecinnym pokoju.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zerwała się i w tej chwili uniosła głową dach domku, niby pokrywę pudełka. Dokoła domku roztaczał się Park Leśny, tonący w puchach śnieżnych. Ale Toni zdawało się jeszcze ciągle, że jest w pokoju dziecinnym i dopiero kiedy się uszczypnęła w policzek, przypomniała sobie wszystko, co się jej zdarzyło wczoraj. Nie mogła pojąć tylko, skąd się wziął nad nią ten śliczny, mały domek. Odchyliła dach, wyszła do ogródka i stąd przyglądała się domkowi, w którym całą noc przepędziła. Była nim tak zachwycona, że aż rączki składała z podziwu, powtarzając bez końca:

— Oh, ty mój cudny, maleńki, pachnący domeczku!

Czy jednak domek przeląkł się jej głosu, czy też rozumiał, że zrobił już co do niego należało, dość, że ledwie Tonia wypowiedziała te słowa, zaczął się pomalutku zmniejszać. Tak się to jakoś robiło, że Tonia nie zaraz się na tem poznała, ale raptem spostrzegła, że w domku-by się już zmieścić nie mogła. Nic mu nie brakowało, wyglądał jak pierwej, tylko kurczył się, kurczył coraz bardziej, a z nim kurczył się i ogródek. Pierścień śniegu, otaczający go, zacieśniał się coraz więcej. Przed chwilą był taki, jak psia buda, teraz już nie większy od arki Noego. Ale wszystko było jak pierwej. Nie brakowało ani klamek, ani pachnących krzewów na ścianach, ani dymu, przyczepionego do komina. Tylko robaczek świętojański świecił coraz słabiej. — Oh, domeczku najdroższy! nie znikaj! — błagała Tonia i rzuciła się przed nim na kolana, bo domek był już nie większy od naparstka. Próżno jednak wyciągała ku niemu rączki — domek znikł w końcu zupełnie. Na miejscu, gdzie wznosił się jeszcze przed chwilą, nie było teraz nic, prócz gładkiej powierzchni śnieżnej.

Tonia przesłoniła piąstkami oczy i płakała głośno, gdy tuż koło niej odezwał się dziecięcy głosik: — Nie płakać, nie płakać mały człowieczku.

Mały domek

Tonia odwróciła się szybko i ujrzała ślicznego, nagiego chłopczyka, który przyglądał jej się uważnie. Tonia domyśliła się odrazu, że to jest Piotruś Pan.





ROZDZIAŁ VI.

KOZA PIOTRUSIA.

TONIA była bardzo nieśmiała, ale Piotruś nie znał tego uczucia.

— Mam nadzieję, że dobrze spałaś? — rzekł poważnie.

— Dziękuję — odpowiedziała grzecznie Tonia — było mi bardzo ciepło i dobrze. Ale... (tu spojrzała zgorszona na niego) czy tobie nie zimno?

Piotruś dawno zapomniał, co znaczy wyraz „zimno", więc rzekł tylko: — Zdaje mi się, że nie, ale może się mylę. Bo widzisz ja nie wiem bardzo wielu rzeczy dlatego, że nie jestem prawdziwym chłopcem. Salomo mówi, że jestem „ni to, ni owo".

— Więc ty się tak nazywasz? — rzekła Tonia zdziwiona.

— Nie, ja się tak nie nazywam, nazywam się Piotruś Pan.

— To wiem — zawołała Tonia — to przecież wszyscy wiedzą.

Ogromnie było miło Piotrusiowi, że „wszyscy“ wiedzą o nim i prosił Toni, żeby mu powiedziała, co ludzie o nim mówią. Zanim jednak usiedli na obalonym pniu drzewa, Piotruś zmiótł rączką śnieg z miejsca, które wskazał Toni. Ale sam usiadł wprost na śniegu.

— Przysuń się do mnie — rzekła uprzejmie Tonia.

— Co to jest „przysuń“? — pytał Piotruś. Tonia wytłumaczyła mu, co znaczy ten wyraz, i Piotruś usiadł bliziutko niej. Potem opowiedziała mu wszystko, co słyszała o nim. Tak, ludzie wiedzieli niejedno o Piotrusiu, ale nikt n. p. nie wiedział o tem, że Piotruś po dwakroć wracał do swojej matki, ale żelazne kraty zagrodziły mu drogę do domu. Piotruś i teraz nie wspomniał o tem Toni, bo wspomnienie tego zakratowanego okna nazbyt mu było bolesne.

— A czy ludzie wiedzą, że ja się umiem bawić, jak prawdziwi chłopcy? — zapytał z dumą. — Proszę

cię Toniu rozpowiedz wszystkim o tem. Ale gdy potem objaśnił Toni, jak się bawi zabawkami, znalezionemi w parku, gdy jej się pochwalił, że obręcz rzuca na wodę, a balonika użył zamiast piłki nożnej, Tonia była poprostu oburzona.

— Ależ twoje zabawy to nie są żadne zabawy! ty nawet pojęcia nie masz, jak się bawią prawdziwi chłopcy! — wykrzyknęła, patrząc mu prosto w twarz wielkiemi oczami.

Na to Piotruś westchnął najpierw, a potem rozpłakał się tak boleśnie, jak nie płakał ani razu od czasu, jak poraz ostatni powrócił z domu. Toni także zrobiło się bardzo przykro, więc spiesznie podała mu swoją chusteczkę do nosa. Piotruś nie wiedział, co ma z tem zrobić, więc Tonia własną rączką otarła mu nosek i buzię, mówiąc: — „Widzisz, to się tak robi, spróbuj teraz sam". Piotruś poważnie skinął główką na znak, że zrozumiał i obtarł nosek i oczy Toni. Tonia musiała dać za wygraną i udała, że Piotruś dobrze wypełnił jej polecenie.

Nie wiedząc, jak okazać Piotrusiowi, jak serdecznie go lubi i żałuje, rzekła po chwili: — „Gdybyś chciał Piotrusiu, to dałabym ci buzi". — Piotruś od tylu lat już nie słyszał tego słowa, że zupełnie zapomniał, co oznacza, więc wyciągnął rączkę, sądząc,

że Tonia chce mu coś darować. Tonia bardzo się zmieszała, ale bała się zawstydzić go znowu, więc wyjęła z kieszonki naparstek swój i ruchem pełnym wdzięku podała go Piotrusiowi. — Dziękuję — rzekł Piotruś, pewny, że dostał „buzi".

Lata już całe upłynęły od czasu, jak Piotruś ujrzał matkę swoją poraz ostatni, braciszek jego, ten którego matka otrzymała na jego miejsce, był już teraz dorosłym mężczyzną z wąsami i brodą, cóż dziwnego więc, że Piotruś zapomniał, że go kiedyś pieszczono i całowano.

Sami jednak przyznajecie zapewne, że Piotrusia należało raczej podziwiać, niż żałować. W miarę jak się bliżej zaznajamiali, Tonia nabierała coraz większego dla niego szacunku. Z zapartym oddechem słuchała opowiadań jego o podróżach, odbywanych w gniazdeczku drozdów i przygodach, jakie go spotykały na Ptasiej wyspie i w Parku Leśnym.

— Ach, jakżeż to romantycznie! — wzdychała Tonia, składając rączki z zachwytu. Piotruś nie zrozumiał tego wyrazu i zasmucony spuścił główkę, pewny, że Tonia go wyśmiewa.

— Jaś-by pewnie tego nie zrobił... — rzekł pokornie.

— O, możesz być tego pewien! — wykrzyknęła Tonia. — Jaś-by się napewno bał!

— Co to znaczy bać się? — pytał Piotruś. Skoro doznawał tego prawdziwy chłopiec, musiało so być czemś nadzwyczajnem. — Ach, żebyś ty Toniu nauczyła mnie tego „bania“ — szepnął prosząco.

Tonia spojrzała na niego poważnie i rzekła z głęboką czcią w głosie:

— Nie, Piotrusiu, ciebie nikt tego nauczyć nie może.

Piotruś zasmucił się bardziej jeszcze, bo myślał, że Tonia uważa go za wielkiego głuptaska. Tonia opowiedziała mu o tem, jak straszy wieczorami Jasia i jak Jaś boi się okropnie ciemności. (Tonia dobrze wiedziała, że to bardzo nieładnie straszyć tak braciszka). Ale Piotruś znowu zrozumiał ją na opak: „Ach, czegóż nie jestem taki dzielny jak Jaś!? — szepnął żałośnie.

Tonia aż skoczyła na te słowa: „Ależ Piotrusiu ty jesteś dwadzieścia tysięcy razy dzielniejszy od Jasia! Ty jesteś najdzielniejszy chłopiec, ze wszystkich jakich znam!“

Piotruś nie mógł uwierzyć swemu szczęściu i aż pokrzykiwał z uciechy.

— Tak jest — z przekonaniem powtórzyła Tonia — dlatego możesz dać mi buzi... jeżeli... jeżeli masz ochotę.

Piotruś śpiesznie włożył naparstek na jej paluszek, sądząc, że Tonia chce go mieć z powrotem.

Ale Tonia powiedziała żywo: „Ależ ja nie chcę naparstka, ja chcę buzi“.

— Co to jest? — pytał Piotruś.

— Ot to! — odparła Tonia i pocałowała Piotrusia w buzię.

— To i ja ci dam naparstek od siebie — powiedział poważnie Piotruś i dał Toni najpierw jeden naparstek, a potem jeszcze dużo innych. A potem błysnęła mu świetna myśl:

— Powiedz mi Toniu, czy nie chciałabyś być moją żoną — zapytał.

Co najzabawniejsze, że w tej chwili i Toni to samo przyszło na myśl, więc odpowiedziała spiesznie: — Owszem, chętnie wyjdę za ciebie. Tylko czy będzie dość miejsca na nas dwoje, w twojej łódeczce?

— O, jeśli siądziesz bliziutko mnie, to się pomieścimy — żywo zapewnił Piotruś.

— Ale czy ptaki nie będą się gniewały na mnie, jak z tobą przyjadę?

Piotruś zapewnił ją, że ptaki strasznie się będą cieszyć z jej przybycia, (zdaje mi się jednak, że się mylił) a zresztą zimą niewiele ptaków przebywa

na wyspie. — Pewnie tylko zażądają twojego ubranka — dodał trochę mniej pewnie.

— O, futerka mego im nie dam! — rzekła stanowczo Tonia.

— Nie dasz, nie dasz Toniu, naturalnie, że nie dasz — potakiwał Piotruś, gładząc ją po buzi i futerku.

— Czy ty wiesz, dlaczego ja cię tak strasznie kocham? — wykrzyknął niespodziewanie. — Dlatego, że jesteś zupełnie podobna do ślicznego, ptasiego gniazdka!

Komplement ten zaniepokoił trochę Tonię.

— Ależ ty mówisz zupełnie jak ptak, a nie jak chłopiec — rzekła, odsuwając się z lekka. Wydało jej się raptem, że Piotruś naprawdę jest do ptaka podobny.

— Tak, z pewnością jesteś „ni to, ni owo" — mówiła po namyśle, ale widząc jego przerażenie, dodała szybko: — Ale to nic nie szkodzi, bo to właśnie mi się podoba!

— No to chodź ze mną Toniu i bądź taka, jak ja — prosił ją Piotruś i pociągnął ją w stronę przystani, bo nie wiele już czasu pozostawało do otwarcia parku. — Nie, nie, ty wcale nie jesteś podobna do ptasiego gniazdka — zaręczał po drodze, pragnąc jej się przypodobać.

Ale że Tonia była troszkę przekorna, jak wszystkie dziewczynki, więc zaśmiała się na to, mówiąc:

— Ależ Piotrusiu, jabym się bardzo cieszyła, gdybym była podobna do gniazdka. I wiesz co ci powiem, wprawdzie im nie oddam mego futerka, ale za to pozwolę im na sobie budować gniazdka. Pomyśl, jakby to było ślicznie, gdyby mi tu na karczku ulepiły gniazdko, pełne maleńkich pstrokatych jajek. Nie, toby było bajecznie!

Ale kiedy Piotruś przywiódł ją nad brzeg Wężowego jeziora, Tonia spojrzała na niego lękliwie:

— Ale ja będę często, bardzo często widywać moją mamusię, prawda Piotrusiu? Przecież ja nie na zawsze się z nią żegnam, bo na to nie zgodziłabym się nigdy.

— Nie, nie — odpowiedział Piotruś, ale w głębi serca czuł, że Tonia odjedzie na zawsze. Wiedział, że uczciwość nakazuje powiedzieć Toni prawdę, ale obawa, że Tonia porzuci go i powróci do domu, zamykała mu usta. Piotruś czuł, że kocha ją tak mocno, że żyć-by bez niej nie był w stanie.

— Zapomni o matce i będzie szczęśliwa ze mną! — mówił sobie w duchu i raz po raz dawał jej naparstki i naglił do pośpiechu.

Już Tonia z okrzykiem zachwytu, który jej wy-

darł widok cudnego gniazdka, spoczywającego na falach jeziora, miała wejść doń z Piotrusiem, gdy nagle zaczęła drżeć i cofnąwszy nóżkę, powiedziała:

— Pamiętaj Piotrusiu, że popłynę z tobą tylko pod tym warunkiem, jeżeli mi przyrzekniesz, że kiedy zechcę, rozumiesz, kiedy tylko zechcę, będę mogła wrócić do mojej mamy. Przyrzeknij mi to Piotrusiu!

Piotruś przyrzekł. Ale nie mógł spojrzeć w oczy Toni.

— Oh, jeśli ci się zdaje, że matka zawsze czekać na ciebie będzie i przyjmie cię każdego czasu... — powiedział z goryczą.

— Jak możesz wątpić, że mama zawsze oczekiwać mnie będzie! — krzyknęła Tonia, a twarzyczka jej zapłoniła się z oburzenia.

— Tak, póki ci drzwi domu nie zamknie przed nosem — rzekł Piotruś zmienionym ze wzruszenia głosem.

Na to odpowiedziała Tonia: — Drzwi mego domu stać będą zawsze otworem i matka moja czekać mnie będzie zawsze z utęsknieniem.

— Skoro jesteś tak pewna swego, więc możesz spokojnie odpłynąć ze mną — rzekł na to Piotruś z lekką ironią i pomógł Toni usadowić się w stateczku.

— Ale czemu ty nie patrzysz na mnie Piotrusiu? — zapytała Tonia, chwytając go za ramię.

Piotruś wytężał całą wolę, by nie spojrzeć w oczy Toni, zanim nie odbije od brzegu. Ale raptem łkanie bolesne wydarło się z jego piersi. Wyskoczył na brzeg i płacząc, usiadł na śniegu.

Tonia pospieszyła za nim.

— Co tobie? co ci się stało Piotrusiu? — pytała zaniepokojona.

— Toniu! — szlochał biedny Piotruś. — Nie powinienem cię brać ze sobą, bo to nieprawda, że zawsze będziesz mogła wrócić do domu. Twoja matka... ach, Toniu, ty nie wiesz jakie są matki! — i Piotruś zaszlochał jeszcze mocniej.

A potem opowiedział Toni, jak zastał okno swego domu zawarte. Ach, to było bardzo smutne i Tonia słuchając jego słów, płakała prawie tak gorzko, jak i on. — Ale moja mama-by tak nie zrobiła, moja-by tak nie zrobiła — szeptała z przekonaniem.

— Nie Toniu i twoja ciebie nie wpuści! Wszystkie matki są jednakowe! Mogę się z tobą założyć, że twoja matka ogląda się już za jakimś nowym nabytkiem! — zapewniał Piotruś.

Tonia spojrzała na niego ze zgrozą: Jak ty mo-

żesz mówić coś podobnego Piotrusiu! Twoja matka nie miała przecież nikogo prócz ciebie, ale moja ma jeszcze w domu Jasia. Zdaje mi się, że jeśli matka ma bodaj jedno dziecko, to już i tak jest z tego zadowolona.

Na to Piotruś odrzekł z goryczą: — Widać, żeś nigdy nie miała w ręku bilecików, które piszą do Salomy damy, które już mają po sześcioro dzieci!

Rozmowę dzieci przerwał przeraźliwy zgrzyt. To stróż nocny otwierał bramę Parku. Piotruś bez namysłu wskoczył do swego stateczku. Pewny był teraz, że Tonia z nim nie odpłynie i mężnie przełykał łzy, cisnące mu się do oczu. Tonia za to szlochała w głos:

— Oh, Piotrusiu! jeżeli przybędę za późno! Oh, Piotrusiu, co będzie, jeśli mama wzięła już inne dziecko na moje miejsce! — wołała w śmiertelnej trwodze.

Piotruś wyskoczył znowu na brzeg i przypadł do Toni. Objął ją za szyję i tuląc się do niej, mówił bez tchu: — Toniu, dziś wieczór przyjadę zobaczyć, czy niema ciebie w Parku. Ale zdaje mi się, że jeśli teraz prędziutko pobiegniesz do domu, to jeszcze wszystko zastaniesz po dawnemu.

I poraz ostatni okrył jej słodką twarzyczkę go-

rącymi naparstkami, a potem zasłonił rękami oczy, by nie widzieć, jak się będzie oddalała.

— Żegnaj Piotrusiu drogi! — wołała Tonia przez łzy.

— Żegnaj najmilsza, najdroższa Toniu! — szlochał Piotruś.

Raz jeszcze rzuciła się Tonia w jego ramiona, (jak widziała, że robią elfy na swoich weselach), a potem pobiegła ku bramie.

Ach, jakże się spieszyła!

Tego samego wieczora, ledwie przebrzmiały ostatnie tony dzwonka, był już i Piotruś w Parku. Ale Toni nie dojrzał nigdzie. Znaczyło to, że jeszcze na czas wróciła do domu. Długo, długo nie tracił nadziei, że Tonia odwiedzi go której nocy i nieraz zdawało mu się, gdy dobijał do brzegu, że widzi drobną jej postać, stojącą na brzegu Wężowego jeziora. Ale Tonia nie powróciła więcej. Tęskniła wprawdzie za swojem drogiem „ni tem, ni owem“, ale bała się, że gdyby go zobaczyła, zabawiłaby za długo w parku i nie mogłaby już wrócić do domu. Aja zresztą na krok jeden nie puszczała jej teraz od siebie. Często jednak mówiła o nim z mamą i Jasiem, a kiedy nadeszły święta Wielkanocne, zachodziła w głowę, coby też mu posłać w upominku.

Wtedy powiedziała matka:

— Pewna jestem, że nicby mu się tak nie przydało, jak koza.

— Ach, tak — wykrzyknęła radośnie Tonia — mógłby jeździć na niej i przygrywać sobie na fujarce.

— Więc może podarujesz mu swoją kózkę, którą zawsze wieczorami straszysz Jasia? — spytała matka.

Ale Tonia potrząsnęła główką. Kózka przecież nie była prawdziwa.

— Jasiowi się jednak wydaje zupełnie prawdziwa — powiedziała znowu matka.

— To prawda. Czasem i mnie się wydaje zupełnie prawdziwa. Tylko jak ja ją ofiaruję Piotrusiowi?

Mama znalazła na to sposób. Poszła z Tonią do Leśnego Parku. (Jaś towarzyszył im także, w gruncie rzeczy był to dobry chłopczyk, nie trzeba go tylko z Tonią porównywać) i tu stanęła Tonia w „czarodziejskim kręgu elfów“, a matka jej, która znała się na wielu rzeczach, rzekła:

Powiedz mi proszę córko kochana
czem chcesz obdarzyć Piotrusia Pana?

Na co Tonia odpowiedziała:

Kózkę mu matko przywiodłam w dani,
by dniem i nocą mógł jeździć na niej!

I po trzykroć wykręciła się na pięcie.

Potem powiedział jeszcze Jaś od siebie:

Piotrusiu, usłysz błaganie moje
weź kozę, bo się jej strasznie boję!

Tonia pozostawiła przy kozie liścik, w którym zawiadomiła Piotrusia, że kozę swoją posyła mu na pamiątkę i poleciła, żeby poprosił elfy o wyporządzenie mu jej do prawdziwego jeżdżenia. Wszystko się spełniło, czego tylko pragnęła. Piotruś znalazł liścik, a naturalnie elfy bez wielkiego trudu zamieniły mu kozę na żywą. Od tego czasu Piotruś jeździ całymi nocami na swojej kózce po parku i wygrywa na fujarce najcudniejsze melodye.

Co do Toni, nigdy już od tego czasu nie straszyła Jasia kozą, bo jak mi mówiono, użyła do straszenia innego zwierzątka. I dopóki nie została zupełnie dorosłą panną, przynosiła często Piotrusiowi drobne upominki i zawsze w liściku dodawała objaśnienie, jak taką zabawką bawią się prawdziwe dzieci. Ale Tonia nie była jedynem dzieckiem, które pamiętało o Piotrusiu. Danio n. p. często obdarza czemś Piotrusia. Wyszukaliśmy nawet kilka świetnych kryjówek, gdzie składamy przyniesione drobiazgi. Tylko nie proście, żebym wam wskazał te schowki, kiedy Portos jest z nami, bo Portos przepada za zabawkami i zarazby je z kątków powywlekał.

Piotruś nigdy nie zapomniał o Toni, myśli o niej często z wielką serdecznością, ale mimo to jest równie wesoły, jak dawniej i nieraz zeskakuje z kózki, żeby z wielkiej uciechy wytarzać się na trawniku. O tak, Piotruś jest bardzo szczęśliwy, ale coś niecoś przypomina sobie z czasów, kiedy był maleńkim człowieczkiem i dlatego tak bardzo kocha jaskółki. Bo jaskółki są duszyczkami małych, zmarłych dzieci. Rok w rok powracają lepić gniazdka nad oknami domów, w których żyły ongiś i nieraz zaglądają nawet do pokoju dziecinnego. Piotruś kocha je najwięcej ze wszystkich ptaszków i cieszy się bardzo, jeżeli kiedy jaskółeczka na Ptasią Wyspę zawita.

A domeczek Toni?

Noc w noc (jeżeli tylko balu nie ma), budują elfy taki sam domeczek, jak ten, który wzniosły dla Toni, w obawie, że w parku pozostało może jakie dziecko, któreby mogło zmarznąć, gdyby nie miało się gdzie schronić. Piotruś jeździ po parku na kózce swojej i zagląda pod krzaki i drzewa, a jeśli odnajdzie jakie zgubione dziecko, bierze je przed siebie na kózkę i zanosi do małego domku. Skoro się dziecko obudzi, widzi, że noc spędziło wewnątrz domku, ale skoro zeń wyjdzie, domek znika mu

zwolna z oczu. Elfy budują domek głównie dlatego, że samo budowanie sprawia im wielką uciechę. Ale Piotruś szuka zgubionych dzieci przez miłość dla Toni, a także trochę dlatego, że mu się wydaje, że takby pewnie zrobił prawdziwy chłopiec.



SPIS RZECZY.